

Nr. Książki
C 278

Autor
Danikowski, G.

log

Data
roku

Data
wv

BIBLIOTEKA i MUZEUM Z.N.P.

1514-1520 W. DIVISION STREET

WAŻNA UWAGA:

10 PROŚB KSIĄŻKI DO CZYTELNIKA

- I. Nim zaczniesz czytać — obłóż mnie w papier!
- II. Nie dotykaj mnie brudnymi rękami.
- III. Nie czytaj mnie przy jedzeniu!
- IV. Nie śliń palców przy przewracaniu kartek.
- V. Nie mnij kartek i nie zaginaj rogów.
- VI. Nie przeginaj mnie przy czytaniu.
- VII. Nie kładź mnie rozłamaną, grzbietem do góry!
- VIII. Nie umieszczaj mnie w domu na miejscu nieodpowiednim!
- IX. Nie rób na mnie żadnych znaków i dopisków.
- X. Nie wrywaj i nie niszcź obrazków i kartek.

Wymaga się od każdego wypożyczającego książki z Biblioteki Związku Nar. Pol., aby się zastosował ściśle do powyższych prośb i wogóle należy oddać książkę w takim stanie, w jakim ją wypożyczono, w przeciwnym razie osoba wypożyczająca będzie zmuszona do zapłacenia wartości książki.

DYREKCJA.

278

WAŻNA UWAGA. Wymaga się od
każdego wypoży-
czającego książki
z Biblioteki Związku Nar. Pol., aby się zastó-
sował ściśle do następujących zastrzeżeń:
Nie plamić książek, nie ślinić palców przy
przewracaniu kartek, nie zawijać kartek, nie
pisać w książkach, nie podkreślać; wogóle
oddać książkę w takim stanie, w jakim ją wy-
pożyczono, w przeciwnym razie osoba wypo-
życzająca będzie zmuszoną do zapłacenia war-
tości książki.

DYREKCJA.



FEB 14 '38

OCT 7 '35

NOV 27 '38

DEC 13 '44

JAN 8 '52

Dph

DUPL

C

278

EPILOG



TEGOŻ AUTORA:

- Z MINIONYCH DNI. Fragmenty powieściowe. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, 1902. Cena Rb. 1·80.
- POEZJE I. Nakład Stefana Dembego. Warszawa, 1902. Cena Rb. 1·20,
- DWA GŁOSY. Nowele. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa, 1903. Cena Rb. 1·50.
- NEGO. Nowele. Wydanie 2-gie. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa 1904. Cena Rb. 1—.
- FRAGMENT Z PAMIĘTNIKA. Nowele. Nakład S. Orgelbranda Synów. Warszawa, 1906. Cena Rb. 1·20.
- NA WYSPIE. Poemat. Wydanie 3-cie. Nakład J. Lisowskiej. Warszawa, 1907. Cena Rb. —·75.
- WRAŻENIA WIĘZIENNE. Nakład księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Lwów, 1908. Cena Kor. 2·50.
- JASKÓŁKA. Powieść. 2 tomy. Wydanie 2-gie. Spółka nakładowa »Książka«. Kraków, 1905. Cena K. 5·50.
- POEZJE. Nakład księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Lwów, 1910. Cena Rb. 1—.
- W MIŁOŚCI I BOJU. Nowele. Wydanie 2-gie. Spółka nakładowa »Książka«. Kraków. 1910. Cena Rb. 1·20.
- MARJA MAGDALENA. Powieść. Wydanie nowe uzupełnitne. Z rysunkiem Marji Magdaleny i portretem autora. Nakładem Kasy przezorności i pomocy warszawskich pomocników księgarskich. Kraków 1914. Cena Rb. 2·50.
- FRAGMENTY. Sylwetka społeczeństwa po r. 1863. — Budownicy i żołnierze. — Dziwne obawy. — Z wielkiej księgi. — Z psychologii konserwatyzmu. — Aktualna sprawa. — Znamienne sygnały. — Enuncyacye naszego przyjaciela. — Doktrynerom. — Zakończenie. Skład główny w księgarni G. Gebethnera i Spółki. Kraków 1914. Cena Kor. 3.

DUPL

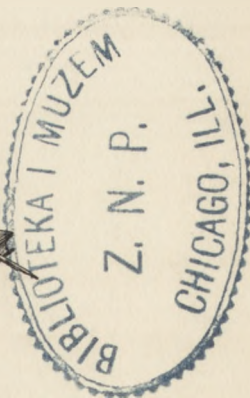
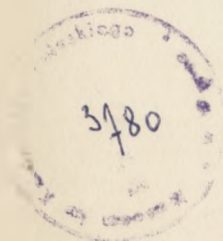
C

278

GUSTAW DANIŁOWSKI

EPILOG

ZELMA — RIEN NE VA PLUS
POLICZEK — LUŻNE KARTKI
BARYKADA (Z LEONA FRAPIE)



WARSZAWA — 1914

NAKLADEM KASY PRZEZORNOŚCI I POMOCY WARSZAWSKICH
POMOCNIKÓW KSIĘGARSKICH · SKŁADY GŁÓWNE: WARSZAWA
GEBETHNER I WOLFF · KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

Przedruki, nieuprawnione przez autora, wzbronione. Wszelkie prawa autorskie co do tłumaczeń i przeróbek zastrzeżone.

Prawa autorskie co do tłumaczeń itd. w Rosji zarezerwowane na zasadzie ustawy z d. 3 kwietnia 1911.

Copyright by Gustaw Daniłowski, nineteen hundred fourteen.

№ 2971 *

EPILOG



Miasteczko Kozłowo, w którym Czarliński został internowany, leżało na uboczu w odległości 60 wiorst wązkich a długich od stacji kolejowej i około 3 mil od poczty, że zaś grunt był gliniasty, podczas roztopów wiosennych i szarug jesieni ruch kołowy stawał się niemal niemożliwy, i Kozłowo zamieniało się jakby w bagnistą wyspę, odciętą grzązką topielą od reszty tego typu siedlisk, rzadko rozsianych na sennej równinie.

Ludność miasteczka stanowiła garstka osobników różnych wyznań, tonących niemal bez śladu w mrowiu żydostwa.

Z czego to mrowie żyło — było to dla Czarlińskiego nierozwiązaną zagadką i chwilami stawał się skłonny do przypuszczeń, że drogą stopniowego przystosowania się osiągnęli zdolność przyswajania sobie na podobieństwo roślin pokarmu wprost z powietrza, słońca i błota rynku.

Nad bezpiecznym bytowaniem tych mieszkańców czuwało stale dwóch pijanych kolejno, a często pospołu strażników. Z instytucji najważniej-

szą państwową stanowił monopol, religijną — zapadła w ziemię, okryta pleśnią wieków bóżnica, a użyteczności publicznej — zakład Chaima Szwarcwasera, z trzema mosiężnymi talerzykami oraz szyldem: »striżka, břitje, cyrulnie i wsio czto trebujetsia« — to ostatnie miało znaczyć bańki, pijawki, rwanie zębów, puszczenie krwi, wogóle cała medycyna, którą w braku lekarza Chaim z powodzeniem uprawiał.

Z tego względu cieszył się dużą powagą w miasteczku; zresztą istotnie był to człowiek obrotny, bywały i o tyle postępowy, że nosił się krótko, prenumerował rosyjską »Niwę«, a w razach nagłych zasłabnięć za podwójną taksą nie wahał się naruszać święta sabatu.

Z nim to Czarliński z powodu swej bujnej czupryny wszedł w stały i niemal zażyły stosunek.

Chaim cenił swego klienta, jako człowieka, z którym jest o czem pogadać. Czarliński rad słuchał miejscowych ploteczek i rozmaitych pantoflową pocztą dostarczanych nowin z szerokiego świata.

W gruncie rzeczy, były to wiadomości błahe, nic się bowiem ciekawego ani w okolicy, ani tembardziej w miasteczku nie działo i dzieć się nie mogło, zwłaszcza w czasach, kiedy po minionej zawierusze w najżywszych ośrodkach życia wszystko zamarło; ale Czarliński znajdował się w tym właściwym ludziorzynie nagle wykolejo-

nym nastroju nerwowego oczekiwania czegoś niezwykłego, jakiegoś niesłychanego zdarzenia, które odwróci radykalnie przegraną szansę życia, i spodziewał się lada dzień o takim wypadku się dowiedzieć.

To też nieraz, gdy Chaim witał go słowami: »z wi Pan, co słuciłoś?«, Czarlińskiemu zaczynało bić gwałtownie serce, i dowiadywał się, że do sklepu Borucha dobierali się w nocy złodzieje, a Mendel Błat kupił za psie pieniądze z przepędzanego przez miasteczko stada dwie kulawe gęsi.

Wkrótce jednak i to jedyne źródło wieści miało się zamknąć przed Czarlińskim na zawsze.

Pod jesień w miasteczku wybuchła szkarlatyna, dzieci ginęły, jak muchy, przyczem przebieg grasującej choroby był niezwykły, wysypka lekka mijała szybko, aż naraz dzieci puchły, traciły przytomność i w ciągu paru dni umierały.

Dowiedziawszy się o tych objawach, Czarliński wyszukał w koszu swych rozmaitej treści książek podręcznik lekarski i bardzo szybko zorientował się, że zapalenie nerek chłonie ofiary.

Pragnąc być lojalnym, zakomunikował o tem Chaimowi, ale zarozumiały samouk odparł z powagą:

— Co ma nerka do tego? Nerka jest w macicy, a macica w brzuchu, a jemu nie brzuch, lecz twarz i pod oczyma nasamprzód puchnie; ja panu powiadam, że to jest podwójna krosta

czzerwona na wierzchu, a czarna w środku. Ja próbowałem już i lapis i niegaszone wapno — i wszystko na nic.

Oburzony tą terapią Czarliński zaczął działać na własną rękę i za pomocą senesu i gorących kompresów osiągnął w kilku przypadkach pożądaný skutek.

Powodzenie kuracyi, a zwłaszcza przeprowadzone wobec naocznych świadków esencją octową próby moczu na białko, napęłniały Żydów niemal zabobonną trwogą, i Czarliński zyskał wkrótce opinię napół czarodzieja, napół cudotwórcy, a że leczył bezinteresownie, mieszkanie jego zaroilo się od pacjentów, przyczem materyał analizy poczęto mu znosić wiadrami.

Zrazu próbował się bronić, dowodził, że nie tylko medycyną, ale wogóle niczem mu się zajmować nie wolno, lecz ulegając błaganiom w jasnych i wyraźnych wypadkach, radził jak umiał, stosując niewinne domowe środki, które, jeśli nie pomagały, to i zaszkodzić nie mogły.

Chaim tymczasem nie zasypiał gruszek w popiele; ująwszy sobie strażników ćwiartką monopolu, ułożył wspólnie z nimi donos, że »polityczny« miasteczko buntuje. Skutkiem tego Czarliński musiał odbyć uciążliwą podróż do »Gubernii«, gdzie sprawę o tyle wyjaśnił, że go pozostawiono na miejscu z surowem napomnieniem, by siedział cicho i w żadne konszachty z miejscową ludnością się nie wdawał.

Odpowiednią instrukcyę otrzymali też strażnicy, którzy przez parę dni trzymali wartę pod jego mieszkaniem i poturbowali kilku dążących na konsultacyę pacjentów.

W ten sposób Czarliński stracił i praktykę i życzliwość Chaima — i wrócił do swoich studyów matematycznych i do swego pamiętnika, gdzie notował strzępy nawiedzających go myśli i rozmaite, przeważnie zaprawione ironią i goryczą refleksye.

Czasem tylko wykradały się doń chyłkiem schorowane doszczętnie egzemplarze, zdecydowani kandydaci na kierkut, którym należało jedynie życzyć szybkiego i lekkiego skonania.

Wizyty tego rodzaju były niezwykle męczące, trzeba było bowiem wysłuchiwać stękań, szlochania, narzekań, lamentów, oglądać nieraz wprost wstrętne wrzody, strupy, rany, obrazy zgnitej, parszywej niedoli, straszliwe wizerunki cuchnącej nędzy.

To też Czarliński zżymał się wewnątrznie, ilekroć postyszał charakterystyczne człapanie za progiem, i ponurym: — czegoż tam znowu? — witał te wsuwające się pokornie długopole postacie, od których jego pokój napelniał się momentalnie przyprawiającym o mdłości zaduchem.

Poradzić im nie mógł — więc się irytował tylko, i, wybuchając nieraz gniewem, wyrzucał tę hołotę za drzwi, zapowiadając, że jeśli się raz jeszcze zjawią, weźmie się do kija.

Groźby poskutkowały, wizyty stawały się coraz rzadsze i wreszcie ustały zupełnie.

Czarliński kompletnie osamotniony, zamknięty szczelniej, niż zwykle, sam w sobie, z jakąś złośliwą satysfakcją natrząsał się szyderczo z tych szalonych zamiarów i świetnych rojeń, którym tak brutalnie zaprzeczyła obrzydliwa rzeczywistość.

Życie jego, niedawno tak bujne, zamieniło się nagle w jałową egzystencję, w której, zdawało mu się, stopniowo zastyga krew w żyłach, kamienieje mózg, trupieje dusza.

Były to jednak tylko pozory, w tajnikach jego jestestwa wciąż jeszcze targało się rozgorzałe, głodne niepowszednich wzruszeń serce i chwilami z tego głodu wściekle. Czasem wprost zazdrościł okrutnemu losowi tych, którym się nie udało tak względnie — na sucho wywinąć z matni, jak jemu — jako ludziom przynajmniej sytym mąk i cierpienia.

— Skończyli, jak przystało — myślał — a ja nędznie i głupio.

Czuł się niemal dotknięty, że mu, niby pobytowemu złodziejowi, naznaczono w brudnej mieścinie marne dwa lata, wobec czego niepodobna nawet uciekać i zamykać sobie legalnego powrotu do kraju.

— Sytuacya moja — pisał z tego powodu w pamiętniku — jest głównie tem nieznośna, że śmieszna. Schodzę do roli małomiasteczkowego

bohatera, staje się pogromcą Chaima. Dostałem za to nosa z gubernii, ale i honorową wartość, która zrobiła grube wrażenie. We wzroku mieszkańców dostrzegam przy spotkaniu podziw, pomieszany z trwogą. Ustępują mi z drogi, jak dzicy przed szamanem.

Gdybym był Żydem, mógłbym tu zostać wziętym cadykiem, byłoby to przynajmniej oryginalne zakończenie kariery, to też żałuję, że się urodził Aryjczykiem, zwłaszcza, że jest tu kilka wcale niczego Semitek, którebym chętnie kurował na bezdzietność... Przytem zjawiają się w prasie głosy, że to jedyna droga do asymilacji. Jest to więc pod pewnym względem działalność dla mnie, jako dobrego obywatela kraju, wskazana...

Potem następowała uwaga:

Bezczynność jest bezwstydnym doradcą — ale jak pozbyć się doradcy, gdy brak sposobności do czynu?...

— Pracować!

I Czarliński pogrążył się na nowo w cyfrach, a w miarę zatapiania się w coraz wyższe zagadnienia matematyczne, zaczynał odczuwać całe surowe piękno tej ścisłej nauki, która z kilku prostych pewników, dźwigana logiką, wyrasta w gmach wielki i wspaniały.

Szczególnie zaciekawiało go rozwiązywanie zawitych zadań, z których nieraz wypadały mu w odpowiedzi liczby tak zwane urojone, nie-

istniejące, a czasem tajemniczy znak nieskończoności.

Te otrzymywane ze ścisłych rozumowań symbole wtrącały go w koło głębokich rozważań.

— Więc i tu nawet — myślał — jako ostateczny wynik otrzymuje się urojenie, przekraczające granice poznania pojęcia, wielorakie rozwiązania kilku niewiadomych stosunkowo prostego zrównania. A więc i w rezultacie czysto umysłowych spekulacji, wyprowadzonych z niewzruszonych założeń, otrzymuje się nieraz tylko pozór, a często wątpliwość. Dość dwóch niewiadomych, a wszelka pewność znika, zaczyna się błędzenie po omacku, gdzie ślepy traf rozstrzyga i, gdy w sferze oderwanego myślenia następuje się nieskończona ilość możliwości, w realnem życiu coś jedyne, jako konieczność wypada i *post factum* się sądzi, tak być właśnie musiało — dlaczego nie inaczej? Tego nikt nie wie, nikt się nad tem nie zastanawia.

Któregoś dnia, gdy był zajęty całkowaniem nieskończenie małych wielkości, posłyszał staranne wycieranie nóg o słomiankę.

— Znowu! — zmarszczył się, patrząc niechętnie na drzwi.

Zanim się jednak otworzył, rozległo się stukanie i czysto po polsku wymówione wyrazy:

— Czy można?

— Proszę! — zerwał się zelektryzowany.

W progu ukazała się skromnie, lecz gustow-

nie ubrana brunetka, postawna, piękna jeszcze, choć już niezbyt młoda, o wyrazistych, jakby wykutych w białym kamieniu, zastygłych rysach i uderzającym wejrzeniu dużych, piwnych oczu, dziwnie nieruchomych, jakby wpatrzonych stale w jeden punkt.

— Przeszkodziłam panu — wymówiła, spoglądając na rozłożone książki i zapisany rachunkami arkusz.

— Ależ, proszę — zakręcił się po pokoju Czarliński, wyrwał z kąta staroświecki na rolkach fotel, podsunął go damie i zaczął machinalnie porządkować nieco zaniedbane ubranie i rozlatującą się czuprynę.

Nieznajoma siadła, oparła się łokciem o stół, złożyła głowę na dłoni i przypatrywała się Czarlińskiemu dość długo.

— Słyszałam — zaczęła wreszcie spokojnym głosem — że pan jest znakomitym doktorem, a z tych znaków wyższej matematyki, które znam dobrze co prawda tylko z widzenia — widzę, że pan musi być rozumnym człowiekiem.

— Nie jestem medykiem — odpowiedział Czarliński.

— A jednak o pana lekarskich sukcesach cuda głosi całe miasteczko.

— Między ślepych jednooki uchodzi za ostrowidza; miałem podręcznik i com wyczytał, tom zastosował — udało się szczęśliwie, w paru wy-

padkach polegałem na intuicyi — no i prawdopodobnie działała też sugestia.

— Może i w stosunku do mnie natchnie pana intuicya, ja zdaje się mocno chora jestem — spojrzała żywiej na Czarlińskiego, któremu wydał się nagle błysk jej oka i cała twarz znajomą.

— Nazywam się Starska — ciągnęła — mój syn miał na imię Stach, a pseudonim Leon.

— To jego matka! — jakby wykrzyknik rozległo się w głosie Czarlińskiego i serce mu stało na moment, niby schwyłtane w kleszcze.

Spotykał się z Leonem zaledwie kilka razy, ale wiedział dokładnie, czem był ten chłopak i co go spotkało, i teraz, patrząc na panią Starską, zdawało mu się, że znowu z nim konspirowała, tak bardzo była do syna podobna.

— Chora jestem — powtórzyła — mam wrażenie, że coś żywego jest we mnie, w dzień śpi, ledwie dyszy — tu, pod pierściami czuję, jak drzemie, ale gdy zejdzie noc — zmrużyła oczy boleśnie — zaczyna się rzucać, dręczyć — tak mnie to męczy, bezlitośnie męczy — ścisnęła usta i rysy jej ściągnęły się cierpieniem.

Nastąpiła długa pauza obopólnego milczenia.

— Dawno pani tego doświadcza? — odezwał się w końcu Czarliński, by przerwać ciszę.

— Od kilku miesięcy, właśnie od tej samej chwili... bo może pan wie, że Stach...

— Wiem — odparł głucho.

— Prawda, we wszystkich pismach to było — dwa wiersze drobnym druczkiem — trudno uwierzyć, ale chyba prawda, kiedy wszędzie było i w tych samych słowach... Widzi pan, to się wszystko tak stało... Jak mój mąż umarł, okazało się, że nasz folwarczek — zna pan, o dwie mile stąd — Korwin — posiada tyle długów, że niepodobna się utrzymać. Poszedł z licytacji, a ja ze Stasiem, którego czas było uczyć, przeniosłam się tu właśnie, gdzie dotąd mieszkam, i pan Barwicki, może pan słyszał — miał tu własny domek, w którym osiadł, wysłużywszy emeryturę — już nie żyje... przyjaciel nasz stary, przygotowywał Stasia do gimnazyum, do piątej klasy, bo chciałam, by chłopak jak najdłużej był przy mnie. Uczył się znakomicie, a pan Barwicki nieraz mi mówił, że tak zdolnego ucznia nie spotykał, choć setki dzieci przeszło przez jego ręce.

Zdał celująco. Trzeba było się rozstać. Wielkie to było dla mnie zmartwienie — no, ale cóż robić — musiał kończyć szkoły, i ukończył łatwo, szło mu bowiem wszystko, jak się wyrażał, »śpiewająco«. A miał rzeczywiście bardzo miły głos, ciągle improwizował, albo śpiewał — wesół był zawsze, jak ptak.

Jak, bywało, przyjedzie na wakacye, to tak mnie rozruszał, że dokazywaliśmy razem, jak dzieci, a gdy mu się udał jakiś figiel, promieniał

cały; mówił, że ze mnie znakomity towarzysz, i przezywał mię wtedy po męsku — mamę zamieniał na mamot, a Stefanię na Stefka.

Kiedyś mi wytłómaczył, co to jest prawdziwy towarzysz — wtajemniczył we wszystko. Ja się na razie trochę zlekłam, ale kiedy zrozumiałam, o co chodzi, pokochałam go jeszcze więcej i pomagałam, za co mi nieraz mówił: mamot jest dzielny i mężny, ja wiedziałem, że tak będzie!

Wyjechał uczyć się na inżyniera, ale z powodu awantur został wydalony i stał się nielegalnym. Pisywał do mnie jednak często, choć krótko z rozmaitych miejsc. Czasem wpadał tajemnie, czasem mi przysyłał na wypoczynek którego ze swoich. Miałam ich tu kilkunastu i wszyscy zgadzali się, że Stach jest dzielny chłop.

— Jeden z najdzielniejszych — wtrącił Czarliński.

Pani Starskiej zaświeciły płomieniem oczy.

— I pan także... pan go znał?

— Trochę!

— Pan towarzysz?

— Tak!

— Więc z panem mogę mówić otwarcie — to dobrze — i poczęła opowiadać szybko, chaotycznie i nerwowo:

— Ja chciałam pracować z nim razem, ale odpisał, że usługi, jakie oddaję na razie, są zupełnie wystarczające, że mnie wezwie w stoso-

wnym czasie, że wie, iż jestem odważna, i na posterunku, gdzie potrzebna będzie odwaga, mnie postawi.

Czekałam niecierpliwie na wezwanie, gdy naraz listy się jego urwały, nikt do mnie nie przyjeżdżał, jakby zapomnieli o mnie zupełnie. A tu w gazetach i z rozmaitych stron — wstrząsające wieści, i czułam sama, że tam, gdzie najniebezpieczniej, z pewnością stoi mój syn.

Ale nakazał mi odwagę, więc stulam się nią i nic mnie nie przstraszało, prócz braku wieści — żeby choć słówko, choć jedno słówko, a tu ani litery — powtórzyła żałośnie i oczy stały się martwe, nieruchomo zapatrzona w przestrzeń, a twarz niepowszednio surowa, jak oblicze kamiennego posągu.

Siedziała chwilę bez ruchu, jak zastygła, i po dłuższej przerwie, głosem nienaturalnie spokojnym i nieco przygasłym zaczęła mówić, jakby do samej siebie:

— Obcem pismem ta krótka kartka zawiadamiała, że Stach od kilku miesięcy jest ciężko chory, że mam zaraz przyjechać, i zgłosić się do doktora Patrika.

— Zrozumiałam, co to znaczy. Patrik było to nazwisko głośnego obrońcy, który prowadził polityczne sprawy.... Przyjechałam, a Patrik mi oświadczył: Dobrze, że pani jest. Sprawa pani chłopca jest poważna! — Naturalnie — pomy-

ślałam sobie — Stach drobnostkami nie lubił się zajmować — i powiedziałam:

— Niech się pan mecenas niczego nie boi, ja i mój syn jesteśmy odważni...

A on uśmiechnął się i rzekł:

— Pani nie znam bliżej, ale matka takiego dzielnego syna niewątpliwie jest go warta!

Potem dał mi adres jednych państwa, którzy mnie przyjęli bardzo życzliwie i zaprosili na mieszkanie.

Było mi tam bardzo dobrze, — tylko obchodzili się ze mną niezwykle, nieco sztucznie, i było mi trochę nieswojo, gdy prezentowali mnie gościom, nie jak zwykle, z nazwiska, ale z silnie akcentowanym dodatkiem: jego matka!

Właściwie, powinna byłam czuć się dumną, że Stach uchodzi za tak znakomitą osobistość, tymczasem za każdym razem robiło mi się dziko i bardzo smutno.

Poweselałam, gdy mi wyrobiono widzenie się ze Stachem.

Stał przed kratami taki zuchowaty i dziarski, jak zawsze, a w oczach miał ten świetny płomień, który mu się jawił w chwilach uniesienia i który tak kochałam.

-- Mamot! — zawołał radośnie — dlatego nie pisałem. Niech się mama nie boi, a jakby doszło co do czego, ja mamie wstydu nie zrobię...

Milczałam, bo nie wiedziałam, o czym mówi,

a on plółt wesolo trzy po trzy, aż minął naznaczony czas... Wróciłam trochę zmęczona ze wzruszenia, ale i pełna otuchy. To też, gdy Patrik powiedział: sprawa komplikuje się i staje się ciężką, wyraziłam zdanie, że przesadza. Potem nie mogłam się dobić widzenia ze Stachem, aż dopiero na sądzie. Stawało ich odrazu kilkunastu. Dopuszczono tylko najbliższą rodzinę, ze czterdzieści osób. Sala była tak ładna, biała i jasna, że zrobiło mi się prawie wesolo, gdym się w niej znalazła. Gwar rozmów ucichł nagle, gdy ktoś krzyknął: proszę wstać, sąd idzie! Wstałam i ujrzałam kilku wyższych wojskowych, którzy się rozsiedli za stołem.

Potem weszli oni, wszyscy młodzi, postawni a na przedzie mój Stach z dumnie podniesionem czołem i drwiącemi oczyma. Dostrzegł mnie i uśmiechnął się; chciałam mu oddać uśmiech, ale nie zdążyłam, bo usiadł, i widziałam tylko jego plecy i bujne, dawno niestrzyżone włosy takie długie w lokach, jak moje — musnęła się dłonią po puszystych, krucznych warkoczach.

Drgnęłam mimowolnie, gdy stuknęły o posadzkę kolby bagnetów.

Długo czytano akt oskarżenia, którego nie rozumiałam prawie wcale, bo nie znam dokładnie rosyjskiego języka, potem zeznawali jacyś świadkowie, których nie rozumiałam również, kilku mówiących po polsku oświadczyło, że nic nie wiedzą, nic nie pamiętają... Ciągnęło się

wszystko powoli i nudno. Następnie wstał młody pułkownik — jak mnie objaśnił sąsiad — prokurator i znowu sala ożywiła się znacznie. Mówił do zmroku, często słyszałam swoje nazwisko, ale wszystko to tak dalece mnie znużyło, że nie byłam wprost w stanie oddać Stachowi pożegnane uśmiechu.

Spuściła wzdłuż ciała ręce, przymknęła oczy, i twarz jej cała i postawa przybrała wyraz ostatego wyczerpania.

Trwała tak dłuższy moment, wreszcie ocknęła się i, jakby wzmożona raptownie na siłach, zagadała żywo:

— Naprawdę zaczęło się dopiero następnego dnia. Zasnęłam trochę, to też, gdy przybyła, już się rozpoczęła rozprawa i musiałam czekać pauzy, by dostać się do środka. Przemawiali właśnie adwokaci. Mówili płynnie, ale trochę z polską, więc rozumiałam piąte przez dziesiąte i muszę przyznać, że bronili zawzięcie. Ostatni i najlepiej mówił Patrik, który między innymi bronił Stacha.

Zaczął spokojnie, ale zapalał się powoli i w końcu wskazując jedną ręką ławę podsądnych, wyciągnął drugą w kierunku sędziów i zawołał z mocą:

— Panowie, jesteście ludźmi wojny, sami odważni, musicie cenić wysoko odwagę, jesteście przytem ludźmi honoru. Nie śmiem żądać od was, byście przed męstwem tych młodzieńców

prezentowali broń, ale nie wątpię, że okażecie się wspaniałomyślni wobec tych pokonanych, którzy walczyli śmiało i do ostatka...

Skończył i usiadł. Szmer uznania przebiegł po sali. Potem uniósł się niedbale prokurator i oświadczył, że podtrzymuje całkowicie swe oskarżenie. Następnie przewodniczący, siwy zupełnie, otyły generał, z dobrodusznym wyrazem twarzy spytał podsądnych, co mają do powiedzenia na swe usprawiedliwienie.

I wtedy podniósł się Stach. Ujrzałam w czarnych kędziorach twarz mego chłopca, białą, jasną, prawie promienną, i gorejące, jak w ogniu, oczy.

Pan wie, jak on mówił ślicznie i jaki piękny miał głos.

Dreszcz przejął wszystkich po pierwszych jego zdaniach, a potem w sali robiło się coraz ciszej i ciszej — tak cicho, że słyszeć było, jak biją serca, jak porywają się w jego wzruszonych piersiach potężne słowa, namiętne, śmiałe i dumne. Ktoś za mną zaczął łkać, ale to łkanie tłumił jego drgający jak dzwon cudowny głos.

Rozumiałam wszystko, kaździuteczki wyraz, kaźdą pauzę, kaźdy ton, i powiem, że takiej mowy nikt nie słyszał i nie usłyszy nigdy.

Gdy przerwał na chwilę, by nabrać tchu, rozkołysały się głośnie szlochania, płacz szemrał naokół — ja jedna tylko płakać nie mogłam, dlaczego? do dziś dnia nie wiem — powtórzyła,

i w roziskrzonych jej źrenicach zamigotały wielkie łzy.

Czarliński, prawie z przestraczem, patrzył w jej tragicznie mieniającą się ze wzruszenia twarz i widział, jak pałające przed chwilą uniesione rysy gasną i powlekają się zwolna śmiertelną bladłością.

— Skończył — zaczęła głucho — ale nikt się nie ruszał z miejsca. Wreszcie podniósł się z trudem otyły generał, a za nim sędziowie, i wyszli, jeden za drugim, gęsiego. Widziałam, jak obrońcy i koledzy zaczęli ścisnąć Stacha za ręce, ale on widać był bardzo zmęczony, bo ciężko oddychał i obcierał chustką spocone czoło. Chciałam podejść i powiedzieć, by nie stał przy oknie, bo może się przeziębić — ale nogi mi tak zdrętwiały, że nie mogłam się ruszyć — on jednak przeczuł widać moje życzenie, bo przesiadł się na drugi koniec ławki.

Z początku było głośno i gwarno, ale zwolna żywe rozprawy uśmierzyły się i stało się tak dziwnie spokojnie, jakby wszyscy posnęli. Patrzyłam w okna różowe od łuny zachodu i prawie zapomniałam, gdzie jestem.

— Wstać! sąd idzie! — zbudził mnie rozkaz. — Palily się w czerwonym słońcu szlify i akselbanty. Wyteżyłam słuch, ale stary generał czytał tak niewyraźnie, że nic nie można było zrozumieć.

Gdy skończył, szczęknęły karabiny, żołnierze

wzięli broń na ramię, otoczyli ich i wyszli. Nie mogłam dojrzeć twarzy Stacha, widziałam tylko jego białą rękę, która, jak skrzydło gołębia, trzepotała się w moim kierunku.

Patrik podszedł do mnie, wziął pod ramię i dopiero gdyśmy wsiedli w dorożkę, rzekł, rozkładając bezradnie ręce:

— Ha! trudno — robiłem, co mogłem... może nie zatwierdzą, choć słaba nadzieja.

Spytałam go, o czym mówi.

On spojrzął na mnie wytrzeszczonymi oczyma, poczem ujął mnie ciepło za rękę i oznajmił, co zaszło.

Oburzyłam się i powiedziałam, że to są żarty, że oni tak tylko, żeby ich nastraszyć, mego Stacha nastraszyć...

I nagle w szeroko rozwartych oczach pani Starskiej mignął dziki błysk i wybuchnęła nagle histerycznym, rwącym się na sztuki śmiechem.

— Ha, ha, ha! jego zastraszyć — ha, ha, ha! — targał się straszny głos, zanosił się szmatycznie, głuchł w chwilach utraty tchu i znów się wydobywał ze ściśniętej krtani okrutny, przeraźliwy, szarpiący duszę.

Czarliński w pierwszej chwili stracił głowę, ale oprzytomniawszy, zerwał się i ściskając mocno tętnice w kiściach jej rąk, począł ją uspokajać zrazu łagodnie, a potem stanowczym, surowym tonem.

Zacichła, tylko ciągle jeszcze wstrząsały się wzdęte piersi; ale po wypiciu wody i to usta-piło. Błada, jak kreda, leżała czas pewien w fo-telu, z zamkniętymi oczyma, oddychając ciężko. Powoli westchnienia coraz bardziej stawały się rytmiczne, łagodne, wreszcie zupełnie ciche. Wzbu-rzone rysy twarzy uspokajały się zwolna, przy-bierając wyraz sennego uśpienia.

Patrząc na nią, Czarliński doświadczał lek-kiego drżenia w sercu i dopływu niezwykle de-likatnych rzewnych wzruszeń, roztkliwiających niemal do łez. Czuł, że, gdyby objął ją w tej chwili, rozplakaliby się oboje i stałoby się im obojgu źlej. Ciągnęło go nieprzeparcie osunąć się do jej stóp i przytulić do kolan zmordowaną głowę.

Ale wkrótce pani Starska zbudziła się, unio-sła ociężałe powieki. Przetarła się posnowa mgły w oczach i z głębi jej zapadłych źrenic wyrzał posępny smutek.

— Ja, zdaje się, śmiałam się — wymówiła, rozglądając się dokoła. — Rzeczywiście i wtedy te pogroźki wydały mi się śmieszne i głupie.

Następnego dnia wezwano mnie na dziesiątą wieczór do kancelaryi, zwrócono resztę pozosta-wionych dla Stacha pieniędzy i powiedziano, że, jeśli chcę, mogę mieć widzenie.

Stałam więc znowu przed siatką i czeka-łam długo. Nakoniec się zjawił w towarzystwie żołnierzy.

Był ostrzyżony krótko, przez co wydawał się jakby zmieniony; twarz jego stała się więcej, niż zwykle, harda i prawie przykro zuchwała. Ale zaledwie spojrział na mnie, rysy jego złagodniały odrazu. Nie wiedziałam, o czym mówić — on także milczał, aż nakoniec odezwał się stłumionym głosem:

— Niech się mama nic nie boi, ja mamie wstydu nie zrobię, ja wiem, że mama jest mężna i to świetne jej dziedzictwo jest we mnie. Niechże mama zaświadczy im, że patrzę w jutro pogodnie i jestem tak spokojny i pewny siebie, jak nigdy.

A ja ciągle nie wiedziałam, co mówić...

— Może pani chce wejść za kratę — zaproponował mi asystujący urzędnik.

— Weszłam — głos pani Starskiej pękł, jak rozstrzaskany. — Weszłam — podjęła z trudem ochryplym szeptem — wyciągnęłam ręce, a on pochylił mi się do ust, i w pocałunku tym uczułam, Boże, w tym pocałunku, jak się w serce moje wylewa uchodzące zeń życie...

Głowa jej upadła na stół, jak ścięta, i trwała tak chwilę bez ruchu.

— Gdzie on jest? — podniosła raptem białą, znieruchomiłą, jak w masce twarz, w której zdawały się palić nieprzytomne oczy. — Ciemno mi się zrobiło, a gdym przejrzała, ktoś mnie trzymał pod ręce, a jego już nie było, gdzieś znikł, rozplynął się, jak cień. Niema go i gdzie

jest? nie wiem... — jęknęła żałośnie i z rozpaczą.

Splotła silnie palce, aż trzasnęły stawy — zwiesiła głowę i jęła mamrotać do siebie:

— Tego niepodobna zrozumieć, a przecie — żadnej wieści znikąd!... Pięć miesięcy i nic! I we wszystkich pismach... — przycisnęła ręką lewą pierś, zęby jej zaczęły szczekać, jak w febrze, a czoło okryło się kroplami zimnego potu.

— Co pani jest? — przeraził się Czarliński. Dygotała bez słowa.

— Nic... tak... już... już... minęło...

Odetchnęła głębiej i wymówiła z wysiłkiem:

— Widzi pan, tak to w dzień czasem tylko i na krótko, ale w nocy często do białego rana.

Pan się pytał, od kiedy? Właśnie od tamtej chwili odrazu poczułam, że coś stało się ze mną, że coś nieswojego leży we mnie, to żyje... W dzień przyczają się, jak kot, a w nocy rzuca mi się na serce i, jak z myszą, tak z niem igrą, w pazury chwyta... Przerażona, zboląła, staje, ledwie drży, zamiera... Leżę cichutko, nie śmiem się poruszyć, udaję nieżywą — i wtedy folguje — i tylko jakby lekko łapami trąca... Wstrzymuję oddech, pulsów bicie — ale napróżno, serce się nagle zrywa, zaczyna kołatać, drgać, lata mi po całych piersiach, jakby w panicznym popłochu, a on tylko na to czyha, rzuca się i znowu się pastwi... Nie śpiam prawie, a jeśli nawet uda mi się zdrzemnąć, to nie opuszcza mnie mę-

tnę wiedzenie, a to jest i nie zostawia mnie ani na chwilę. Żyć mi z tem trudno, a umierać jeszcze nie chcę, bo kto wie... może... O panu mówią, że pan cuda czyni, niech mi pan poradzi, co mam z tem począć — patrzyła na Czarlińskiego błagalnie chorobliwie rozszerzoną źrenicą.

— Mówilem pani, że nie jestem lekarzem — odparł nieswoim głosem i w jakimś dziwnym napadzie ni to rozstroju, ni to rozdrażnienia, począł mówić krzykliwe i oschle:

— Serce nie mysz! Mysz od takich eksperymentów po kwadransie ginie, a pani pięć miesięcy z tem żyje. Serce nasze jest dyabło wytrzymałe, nie zmoże go nawet tygrys, raczej sam się zmorduje, wychudnie, z biegiem czasu zmieni się w cień, aż zdechnie zupełnie i pozostawi ledwie nikłe wspomnienie.

— Niech się pani stara -- dodał ciepłej — nie myśleć o tem, zabijać czas byle czem, choćby się modlić, jeżeli pani może i wierzy.

— Tak pan mówi... był czas, gdy się modliła, ale nie wysłuchał mnie Bóg — odparła pani Starska posepnie. — Nie myśleć o tem, pan powiada — a o czem?... Przecież we wszystkich pismach — może więc i prawda. Choć, kto wie, mogli tak napisać kazać... Jak pan sądzi, czy rzeczywiście to, co było ogłoszone, stało się — czy się naprawdę coś podobnego stać mogło? Przecież to przechodzi wszelkie pojęcie — i jakby

od ciągu powietrza zwichrzyły się jej na czolem włosy, a w oczach zamigotał błysk szaleństwa.

— Mów pan! — domagała się odpowiedzi, wpatrując mu się w twarz ostrą, zwężoną źrenicą.

Czarliński spuścił oczy i, plątając się, począł mówić wymijająco:

— Co ja mogę wiedzieć... Pani przyszła mnie się radzić, a więc mówię i powtarzam nie jako lekarz, lecz jako człowiek: nie myśleć o tem... Syn zalecał pani męstwo, a męstwo — to panowanie nad sobą i hart w najgorszej sytuacji... No, czy nie tak — powiedz pani sama.

— No, tak! — powtórzyła wahająco się pani Starska.

— No, więc proszę mnie słuchać — nie jestem młodziak, widziałem dużo i sam przeszedłem niemało — zagadywał sprawę. — Gdzie pani mieszka?

— Trzeci dom od uliczki, ganek pod daszkiem.

— Więc proszę wrócić do siebie spokojnie, położyć się i zaraz usnąć. Ciemno jest — odprowadzę panią...

— Ależ poco, i tak blisko, a znam każdy wybój, każdą dziurę, z zamkniętymi oczyma trafię... Nie śmiem pana fatygować i tak zabrałam mu tyle czasu, przepraszam, a bardzo będzie mi miło, jeżeli pan zechce mnie kiedy odwiedzić. Mam dobrą herbatę, parę słoików konfitur, czem

chata bogata, tem rada — proszę bardzo — i uśmiechnęła się ujmująco.

— Dziękuję pani, nie omieszkam skorzystać — odprowadził ją na schody i świecił lampą, dopóki nie znikła za węglem.

Pomimo obietnicy i szczerej chęci, Czarliński ociągał się ze złożeniem wizyty.

Osoba pani Starskiej wywarła nań silne wrażenie, kiedy jednak począł rozważać na zimno niektóre szczegóły jej zachowania się, rodziło się w nim podejrzenie, że ta kobieta znajduje się w stanie cokolwiek anormalnym — że ogrom nieszczęścia jak gdyby przerastał jej intelektualne siły, to też, pomimo najpewniejszych danych, nie zupełnie rozumie, że to, co się stało, stało się istotnie i odstać się już nie może. Czego jednak myślą nie ma sił ogarnąć, odczuwa instynktem serca, w którym goreje niewygasłe ognisko bólu, cierpienie tak straszne, że przybiera w poczuciach jej postać realnie istniejącego potwora, który zżera jej wnętrze.

Pomimo własnej recepty: nie myśleć o tem, łapał się sam co chwila na gorącym uczynku krążenia umysłu około tej sprawy i rozumiał, że jego rada jest na nic, że, skoro się z nią spotka, rozmowa niewątpliwie zejdzie na te krwawe tory i koniec końcem stworzy się taka sytuacja, w której będzie zmuszony dać jasną odpowiedź, że pisma się nie myliły, że jej Stach zginął istotnie.

Tego się właśnie obawiał, to też pomimo, iż mocno koczyło go zajrzeć w jej trochę surowe, ale niepowszednio piękne oblicze, znaleźć się pod urokiem dziwnego jej spojrzenia, podręczyć trochę swe rozdrażnione serce w ogniu jej męki, odkładał wizytę z dnia na dzień, prawie miesiąc cały.

Kilkakrotnie był pod jej domem i w ostatniej chwili cofał się do siebie lub go mijał prędko.

Któregoś jednak dnia, gdy się zabierał do odwrotu, dostrzegła go z ganku — i zawołała dźwięcznym, drgającym radością, wesołym głosem:

— Nakoniec się pan wybrał! Jak to dobrze! Samowar właśnie kipi, od tygodnia dla pana go nastawiam, a pan nie łaskaw...

— Byłem niezdrów — skłamał Czarliński — nic wielkiego, katar niezdolny i lekkie zajęcie oskrzeli.

— To też właśnie. Herbata z malinami pysznie panu zrobi. Proszę spocząć, zaraz wrócę — i wysunęła się do spiżarki.

Czarliński tymczasem rozglądał się po schludnym, jasnym pokoju i staroświeckich meblach, świadczących o dawnej zamożności. Szczególną jego uwagę zwróciło biurko hebanowe i śliczny, w stylu Ludwika, stojący zegar.

— Nie chodzi, zepsuty, a niema komu naprawić — widząc, że mu się przygląda, objaśniała pani Starska. — Proszę, niech mi pan po-

może rozłożyć ten obrus. O tak, dobrze. Jak pan woli, w szklance, czy filiżance? Czy nie za mocna?... A teraz konfiturek... Sama smażyłam dla Stacha, ale on tych malin nie będzie jadł. — Położyła nacisk na *tych*, a całe zdanie wymówiła z taką swobodą, że Czarliński drgnął, jak ukłuty, i rzekł z lekkim przekąsem:

— Widzę, że pani znacznie się lepiej już czuje...

— Ach, i jak jeszcze! Ten srogi kot okazał się koteczkiem. Mała, zwinięta w kłębuszek kizia, moja kochana, figlarz, jakich mało. A ja głupia nie domyśliłam się... choć, co prawda, jest to tak niezwykle zdarzenie, że trudno było zorientować się odrazu...

— Jakie zdarzenie?

— A jaki pan ciekawy — robiąc zagadkową minę, patrzyła nań wesoło i po namyśle rzekła poważnie: — Widzi pan, pan dla mnie jest blizkim człowiekiem, jako znajomy Stacha i wygnaniec, ale czy ja dla pana, tego nie wiem — przecież się prawie nie znamy... Jak panu na imię?...

— Władysław.

— Mnie Stefania. Otóż, panie Władysławie, proszę o mnie źle nie myśleć, nie przypuszczać, że jestem płochą kobietą, która, by ukryć swe przewinienie, niestworzone bajki plecie... Nie bez wysiłku, wyznaję szczerze, spędziłam siedmnaście lat w enocie, jak zakonnica. Miałam dwadzieścia

dwa, gdy owdowiałam. Pięć lat tylko byłam za mężem. Młoda, zdrowa, silna i dziś mogę powiedzieć, przystojna, miałam ja swoje burze, tęsknoty i liczne zasadzki — mogłam i pragnęłam, ale dla Stacha zwalczyłam wszystko... Dziś mam lat trzydzieści dziewięć — to jesień już, chyba więc nie czas w jesieni, gdy się przetrwało całe lato... Ale ludzie są złośliwi, więc mnie posądzać będą... Lecz co mi tam! — machnęła lekceważąco ręką — co mnie do tego, nic mnie cały świat nie obchodzi — o Stacha dbam, więcej o nic...

Umilkła.

— Co ma znaczyć cała ta tyrada? Do czego to wszystko zmierza? — plątał się w domysłach Czarliński. Olśniła go raptem myśl, że to są na jego rachunek robione zwierzenia. Na razie się spłoszył, zmieszał, ale, ochłonawszy, rzekł z galanterią:

— Pani jest w kwiecie wieku, jak...

— Może — przerwała. — Ale to tylko pogarsza w opinii ludzkiej całą sytuację — i raptem wzdrygnęła się, przyczem oczy jej zrobiły się jasne, prawie przezrocze, a twarz oblokła się cichym uśmiechem szczęścia.

— Sza! Mały łobuzie — szepnęła półgłosem.

— Co pani powiedziała?

— Powiedziałam: sza, mały łobuzie — powtórzyła wesolo.

— Łobuzie! Co to ma znaczyć? — uraził się Czarliński.

A pani Starska popatrzyła nań trochę zdziwionym, figlarnym wzrokiem i parsknęła śmiechem:

— Panie Władysławie, ile pan ma lat?

— Trzydzieści pięć, ale co to ma do rzeczy?

— Trzydzieści pięć, a jest pan naiwny, jak podłotek. No! proszę się nie dąsać — to zaszczyt tylko panu przynosi.

— Nie nie rozumiem — obruszył się Czarliński. — Pani zagadkami mówi... niedawno widziałem panią w stanie ostatecznej depresji, dziś spotykam ją w zupełnie odmiennym...

— Byłam nie w depresji, ale blizka ostatecznej rozpacz, a teraz jestem w odmiennym stanie — wiem napewno... — Zarumieniła się lekko i dodała:

— Czy pan nie rozumie, że dla kobiety jest nadto żenujące tłumaczyć wszystko dokładnie... Pan jest dziwnie niedomyślny!

— Istotnie, i domyślać się nie mam zamiaru, co pani mi chce przez to powiedzieć — pozwoli więc pani ją pożegnać, głowa mnie boli...

— Pan się gniewa — spojrzała nań spłoszonymi oczyma. — Panie Władysławie, czym go obraziła czemkolwiek?...

— Nie gniewam się — odparł, łagodniejąc, Czarliński — ale doprawdy czuję się niezdrów... może to zdenerwowanie, różnica nastrojów. Wolę

przyjść kiedyindziej — pożegnał się i, wracając do domu, mruzczał zirytowany:

— Albo waryatka, albo kokietka bez serca; noga moja tam nie postanie...

Powzięte to postanowienie starał się w sobie utwierdzić, ale napróżno. Osoba pani Starskiej narzucała mu się uparcie, to jako zagadka dla umysłu, to jako niepojęte czasem ostre, a czasem tkliwe wzruszenie serca.

— Nie pójdę — zawzinał się, czując jednocześnie, że czyni na przekor samemu sobie. Prostu z ambicyi, by postawić na swoim.

Wreszcie nastęczyła się sposobność odwiedzin. Odebrał mianowicie wezwanie do Gubernii, a że takie powołania mogły się skończyć przeniesieniem do dalszych miejscowości, zdecydował, że wypada pójść i na wszelki wypadek się pożegnać.

Wizycie postanowił nadać charakter oficjalny. Włożył czarny surdut, świeży krawat i wciągnął na ręce, noszone zwykle w kieszeni, zamszowe rękawiczki.

— Pan Władysław! — ze szczerem uradowaniem powitała go pani Starska. — Gdzież to się pan zawieruszył? Proszę siadać, ja w ten moment skończę — i zakręciła się energicznie koło maszyny. — Widzi pan, ile zdążyłam przez czas jego nieobecności naszyć — pokazała mu stos pokrajanego w szerokie pasy płótna — same pieluszki, a to koszulka i kaftaniczek... Cały

sekret polega na tem, by było jak najmniej szwów, bo każdy obrębek delikatnemu ciałku daje się we znaki.

— Dla kogóż pani to wszystko szyje?

— Dla Stacha! — i znów zawarczała maszyna.

Czarliński zdrętwiał.

A pani Starska wyprostowała starannie zeszyty rękawek i rzekła:

— Będzie miał wyprawkę nielada. Kupiłam okazyjnie całą sztukę barchanu i cienkiego płótna. Muszę się śpieszyć, bo to już obliczyłam, niespełna dwa miesiące. Co u pana słuchać, czemu się pan nie pokazywał? niedobry i niegrzeczny — strofowała go żartobliwie, wyciągając fastrygę.

Ostupiały Czarliński nie był w stanie wydobyc słowa, wreszcie wyjąkał zmienionym głosem:

— Dostałem wezwanie... przyszedłem się pożegnać; zdaje się, że mnie przenoszą...

— Czy być może? — zatrwożyła się pani Starska. — Ależ toby było fatalne, tak liczyłam na pana... Czy to już pewne?

— Przepuszczam.

— Niech pan się stara zostać koniecznie — jęła nalegać gorąco — mnie niezmiernie na tem zależy, a sądzę, że i panu nie jest obojętne; pan jest dobry, mądry człowiek — przytem towarzysz, obojgu nam blizki — bez pana zostałabym sama w krytycznej chwili.

Wzruszenie, z jakim to mówiła, poczęło się udzielać Czarlińskiemu i ogarnęła go nagła rzewność i głęboki smutek; uświadamiał sobie coraz jaśniej, że tej kobiecie pomieszał się rozum z cierpienia i że należy ją ratować.

— Pani Stefanio! — zaczął rwącym się głosem — czy pani nie ma gorączki, mówi pani tak dziwne rzeczy, proszę się tylko choć na chwilę zastanowić...

— Dziwne! pan powiada — spojrzała na niego jasnymi, szczeremi oczyma — istotnie, mnie również na razie wydawało się dziwne, ale, po głębszym namyśle, zrozumiałam, że jest to zupełnie naturalne. Niech pan sam powie, gdzież się dziecko przed gwałtem ma schronić, jak nie w łonie matki — w tym pocałunku ostatnim on, osaczony wokół, skrył się we mnie, wchłonęłam go ustami, by wynieść stamtąd, w siebie krew jako plód żywic, powić, wykarmić mlekiem, jako niemowlę, jako dziecko wyniańczyć, odchowac i wrócić światu człowiekiem, jakim go zabrałam. Tą samą maszyną, którą szyłam sukienki mu przed laty, szyję teraz. Z tej maszyny czerpałam środki, nim podrośł, bo później lekcyami na siebie zarabiał — i znowu czerpać będę. Pana chciałam prosić na ojca chrzestnego. I jeszcze jedno — pobladła niezmiernie i wymówiła, zniżając tajemniczo głos:

— Gdyby się domyślili, że to Stach, to my

skłamiemy, powiemy, że to jest inny — mój i pana syn — dobrze?

— Dobrze — odparł mimowolnie Czarliński.

— Kiedy pan jedzie?

— Jutro do dnia!

— To niech pan idzie i wyśpi się. Spory szmat drogi i niech się pan ciepło ubierze, bo noce chłodne! Ale, ale... dobrze, żem sobie przypomniała; proszę mi kupić dwa tuziny takich perłowych guziczków — wręczyła mu jeden na wzór — i pięć łokci takiego welwetu, bo tu nie dostanie.

Czarliński wziął w milczeniu próbki, wyszedł, jak pijany, i całą noc spędził jakby w tępem osłupieniu.

W Gubernii okazało się, że chodzi o jakieś »sprawki«, dla których musiał tłuc się kilkadziesiąt wiorst na żydowskiej bryce. Zły, jak siedm dyabłów, przespał się w lichym zajeździe, cały następny dzień pięty zbijał, by załatwić poleczone sprawunki, i odżałowawszy dziesięć rubli na re-sorową landarę, wyruszył z powrotem.

Pod noc dowlókł się do miasteczka, wysiadł na rynku i, brnąc w czeluściach ciemności do domu, zauważył, że z okna pani Starskiej sący się światło.

Zbliżył się i przez omglone szyby dostrzegł łagodny, czysty profil jej twarzy, schylonej nad robotą i białą, obracającą szybko maszynę, delikatną rękę.

— Szyje i szyje! — szepnął i targnęło mu się boleśnie serce od srogiej myśli, że winna-by właściwie zeszyć całun dla syna z tych skrawków bielizny.

Nazajutrz był u niej i począł przychodzić coraz częściej.

Pani Starska była zachwycona załatwieniem sprawunków.

— Pan to anioł doprawdy, guziczki kropelka w kroplę takusieńkie, a welwet nie tylko z koloru, ale i połysku podobniusieńki, bo widzi pan, ja mu chcę zawczasu uszyć takie samo ubranko, jakie sprawiłam mu po raz pierwszy, gdy skończył trzy lata. Pamiętam wybornie fason i miarę chłopczyny, skroję na pamięć i jestem pewna, że będzie leżało, jak ulał. Chcę, by wszystko powtórzyło się na nowo, jota w jotę od początku do koń... — ręce jej drgnęły tak silnie, że rozsypała guziki, twarz zbielała, jak wapno, i szeroko rozwartemi z lęku oczyma obejrzała się dookoła.

Uspokoila się jednak szybko.

— Przestraszyłam się, jak głupia — wyrzekła drżącym jeszcze, nie swoim głosem — czego ja się boję? Przecież, gdyby to się znowu powtórzyć miało, przyjdę, wchłonę go w pocałunku na nowo... dziesięć, sto razy rodzić go będę — wydzierać śmierci, by był nieśmiertelny.

Głos jej nabrzmiał mocą, a twarz ogrzała się, jakby idącym z wewnątrz ogniem.

— Ja teraz wszystko rozumiem. Gdy im znikł chcieli to zataić i dlatego kazali ogłosić wszystkim pismom, by się prawda nie wydała. Szkoda, że pan Barwicki nie żyje, uczyłby go, jak dawniej, no, ale trudno, ja wiem, że pan przygotować go do klas się podejmie. Nie będzie pan miał wiele kłopotu. Chłopak zdolny, chętny, żywy, jak iskra, ale figle jego niewinne, bez cienia złośliwości, pokochacie się prędko. Dam panu pokoik z całym utrzymaniem, a gdy malca ułożymy spać, będziem sobie gwarzyli o nim — dobrze?

— Dobrze!

Czarliński przyjął z pewną dozą radości propozycję, jakby zapominając na moment, że są to fikcyje, przywidzenia zwichniętego umysłu.

I tego rodzaju zapomnienia zaczęły mu się zdarzać coraz częściej. Pewność i wiara pani Starskiej, bogactwo szczegółów w jej opowiadaniach, jakiś sugestyjny czar, bijący ze słów, widok namacalnych przygotowań do przyjścia na świat oczekiwanego dziecka — oddziaływały nań tak silnie, że dawał się wciągać w krąg jej obłądnych marzeń, zapominał się chwilami zupełnie i czasem rozmawiał o przyjściu na świat Stacha zupełnie poważnie.

Pozostawiony sam sobie, opamiętywał się i truchlał na myśl, co się stanie, gdy czas zdruzgoce gmach złudzeń i matka się przekona, że syna wskrzesić nie jest zdolna.

Według zwierzeń pani Starskiej do kryty-

cznego momentu pozostawało ledwie parę tygodni i Czarliński zastanawiał się, czy nie lepiej, by uniknąć katastrofy, stopniowo podrywać i obracać w ruinę jej urojenia. Ale nie mógł się na to zdobyć, w obcowaniu bowiem z nią doznawał jakby zamroczenia zdrowego sądu o rzeczach, zaczynały w nim się budzić wątpliwości co do niezłomności praw natury, stawał się skłonny do przypuszczeń, że wszystko jest możliwe, że cud się darzy.

Czasem próbował obserwować zewnętrzny wygląd pani Starskiej, ale nie umiał nic stanowczego orzec o jej stanie, kształty maskowały luźne suknie, przytem znajdował ją prawie ciągle przy szyciu w pozycji siedzącej, przegrodzoną stołem. Zauważył tylko, że jakby zeszcupiała na twarzy, ma sińce pod oczyma i trochę żółkłą cerę. Zmiany te przypisywał przesiadywaniu nad maszyną nieraz późno w noc.

— Pani się zapracowuje, mizernieje pani z dnia na dzień... poco tyle tego — powiedział jej kiedyś, wskazując na stosy pieluch, śliniaczków, kaftaników, koszulek.

— Co pan się na tem rozumie — odparła wesoło — dziecko musi być suche i czyste, co moment trzeba je przepowijać... Wtedy, choć mogłam sobie pozwolić na szwaczkę, wszystko przygotowałam dla mego jedynaka sama i czułam się zdrowa, jak ryba... Że wyglądam marnie, nic dziwnego — wszystkie kobiety w tym stanie mi-

zernieją i brzydą, ale potem zobaczy pan, stanę się różowa i biała, tak, że niejednemu jeszcze potrafię w głowie zawrócić — i uśmiechnęła się mu ślicznie i zalotnie.

— Co innego mnie martwi — ciągnęła poważnie — że rzadziej odczuwam jego ruchy, niż wtedy. Za to są niezwykle gwałtowne, aż mnie ściska w sercu. Myślę, że dlatego, iż jestem znacznie starsza, miałam przytem dużo trosk i kłopotów, i w chwili rozpaczy poczęłam. Niech się pan jednak nie niepokoje i nie przeraża, gdy zlegnę — nie przyjdzie on mi łatwo, wtedy dwie doby to trwało... Duży był, dwanaście funtów ważył, silny, w kwartał już główkę sztywno trzymał, w pół roku próbował siedzieć i tak brykał, że strach go było samego zostawić w kołysce. Ząbki mu się wyrzynały bez bólu, pierwszy mam schowany. Jakie to dziwne: wkrótce będę miała dwa pierwsze. Ale dobrze, że sobie przypomniałam — może pan mi znieśie ze strychu kołyskę. Sama się boję, bo zdźwiganie w takich razach najwięcej szkodzi.

Czarliński nietylko zniósł kołyskę, ale, widząc że jest odrapana, podjął się olakierować, co uskutecznił tak znakomicie, że wyglądała, jak nowa. Pani Stefania uszyła tymczasem materacyk i firanki z cieniutkiego muślinu, aby zastonić dziecko od much.

Sprzęt ten, ustawiony koło stołu, stał się przedmiotem jej najtkliwszych wejrzeń. Od czasu do

czasu próbowała nogą naciskać bieguny, nucąc przytem półgłosem:

A-a-a! kotki dwa,
Szare, bure obydwaj,
A ten trzeci malusi,
Drogi synek mamusi!

Przy ostatnim wierszu głos jej stawał się niewymownie pieśczośliwy, niby słodkiej rozkoszy jęk, i Czarliński dostrzegł w jej rysach rozlewającą się błogość, a w oczach łzy. Głębokie jej wzruszenie udzielało mu się w postaci rozlewanych marzeń o jakimś dalekiem szczęściu w różowem zaciszu, majaczna myśl, aby syn ten był ich synem, i mętna miłości tęsknota, niby senne widmo kołysało się w tej toni uspienia, w którą go pogrążał monotony motyw jej piosenki.

Chwilami jednak rozżarzała się w nim nagle cała przytomność umysłu i wówczas to »A-a-a« kołysanki przeszywało go nawskróś, jak krzyk boleści borowało mu czaszkę i zmieniało się w mózgu w rozdzierającą dziką nutę. Wstawał, żegnał się szybko, czując, że dalsze słuchanie może go przyprawić o utratę zmysłów.

Nazajutrz jednak stawiał się punktualnie. Kobieta ta ciągnęła go, jak otchłań, a jej obłąkane, gdy zastanawiał się na trzeźwo, urojenia, skoro znalazł się przy niej, przemieniały się w jakieś tajemnicze misteryum, w którym brał udział, doświadczając subtelných dreszczów napoly słodkiej, napoly bolesnej rozkoszy.

Tak dalece przywykł do tych, jakby mistycznych wieczorów, do tych, chwilami dlań strasznych, przejmujących do szpiku kości, a czasem znów czarujących zwierzeń, że, gdy z powodu przeziębienia musiał pozostać w domu, uczył jak gdyby wyrwę w sercu i opuszczenie w duszy.

Myśląc w samotności o całej sprawie, zrozumiał, że ta kobieta leci w przepaść, a on z nią także gdzieś się obsuwa — że dom jej jest siedliskiem nieszczęścia, nad dachem jego grom, a u progu groza. Należy zerwać ten węzeł, którym się z nią splątał — myślał — pozostawić ją samą sobie, niech się bieg spraw sam przez się rozstrzyga. Pozna swą omyłkę, i albo pochłona ją ciemne czeluście oblędu, zginie, albo się uleczy, przeboleje, wygoi się w czasie i smutna do życia powróci.

— Nie pójde tam — szeptał i, choć czuł się dobrze, dzień jeden wytrzymał. Następnego dnia, gdy o oznaczonej godzinie chodził zdenerwowany po pokoju, rozległo się stukanie, od którego zamarło mu serce. W drzwiach ukazała się pani Stefania w obszernej salopie i fokowym, przyprószonym śniegiem, kołnierzu i takiejże czapce, w której jej było niezwykle do twarzy.

— Domyśliłam się, że pan chory, i przynoszę panu malin na poty. Ledwie doszłam, tak ślizko, bałam się, że upadnę, no ale jakoś poszło szczęśliwie.

— Dziękuję, zawstydza mnie pani swoją do-

brocią — odparł szczerze wzruszony, zapominając odrazu o swych postanowieniach — właściwie zdrów już jestem i wybierałem się właśnie.

— To dobrze, może mnie pan odprowadzi. Śnieg taje i marznie, istna gołoledź; boję się przewrócić, mogłoby mi to bardzo zaszkodzić — dodała poważnie.

Gdy wyszli, Czarliński podał jej ramię i ostrożnie, pieczołowicie prowadził, czując, jak mu się opiera na rękę, ociężała, leniwa w ruchach.

Gdy znaleźli się w mieszkaniu, uderzył go zmieniony wygląd pokoju — większa część mebli była wyniesiona, pozostało tylko jej łóżko, usłane śnieżną pościelą, stolik z zamkniętą maszyną, pod ścianą osłonięta wiotkim muślinem kolebka i parę krzeseł, podłoga lśniła jak lustro, czystość biła od ścian.

— Kazałam posprzątać, bo to już niedługo — wyrzekła, widząc, że się rozgląda zdziwiony — za tydzień, choć może być parę dni wcześniej, parę dni później. Niepodobna nigdy, choćby się znało termin poczęcia, określić daty dokładnie.

Wie pan, że im bliżej, tem bardziej się niepokoję i martwię, obawiam się, że go karmić nie będę mogła sama. W piersiach czuję pełność, aż mi duszno, ale nic się nie pokazuje, choć już powinno być inaczej. Przytem czuję się dziwnie osłabioną, doznaję rwania z lewej strony i lewa ręka drętwieje mi, jak kłoda. A cóżby się stało,

gdybym umarła, ktoby się nim zajął, ktoby go chował? Pana jednego, panie Władysławie, mam na świecie, ale czy pan zgodzi się i potrafi? — wymówiła smutno, wpatrując się weń przejmującym do żywego głębokim wejrzeniem.

— Zgodzę się i potrafię — odparł ściśniętym gardłem Czarliński — ale poco te czarne myśli, wszystko pójdzie dobrze — dodał, siląc się na swobodę.

— Ja wiem, że na pana liczyć mogę, ale pozostaje jeszcze jedna sprawa, która mnie boli: Jak on będzie zapisany w papierach? — syn wdowy, niewiadomego ojca. Co będzie, gdy on się dowie, czy zdoła uwierzyć, a jak nie uwierzy, co mój Stach o mnie pomyśli; nie zastanawiałam się nad tą sytuacją wcale, teraz widzę, że nie wszystko może się tak samo co do joty powtórzyć — zwiesiła znękaną głowę i rozłożyła bezradnie ręce.

Czarliński milczał, zapatrzony na krążący wielkimi płatami za oknami śnieg, drgnął, ocknął się i postanowił spróbować raz jeszcze.

— Tak, ma pani słuszność, proszę mi wierzyć — począł mówić gorąco i z przejęciem — że czas się cofnąć nie daje, minione nie powraca, a jeśli się powtarza, to w zmienionej postaci. Stach nic złego nie pomyśli, ludzie tego typu, co on, są obojętni na tego rodzaju sprawy... Syn może być tylko wdzięczny matce za dane życie, a tembardziej za zwrócone po śmierci. Pani Ste-

fanio, on żyje w pani, bo pani go wskrzesza co moment w swem sercu — to przecież tak wiele... Wszyscyśmy śmiertelni, mijamy, jak wątle cienie, ślad szybko po nas ginie, a tylko nieliczni są godni wiecznej pamięci, a Stach nietylko w twej, ale i w innych żyje i żyć będzie...

— O tak! — powtórzyła z uniesieniem pani Starska — za kilka dni posłyszę jego żywy krzyk, jego tkliwe kwilenie, a potem jego szczebiot, a potem dziecinną mowę, a potem wdzięczny, pełny, męski jego głos.

W ciemnych jej oczach zamigotały jasne ognie, twarz płonęła. Chwyciła Czarlińskiego za obie dłonie i, ściskając, wołała, jakby w szale:

— Dziękuję panu, pan mnie pocieszył, nappełnił otuchą, a byłam już bardzo zgnębiona — i zaczęła szlochać.

— To nic — ciągnęła przez płacz — niech pan nic nie zważa na te historye, jestem zdenerwowana, to są nasze w tym okresie zwykle kaprysy. To zaraz przejdzie — łkała cicho — o już! — i podniosła uśmiechniętą w łzach twarz.

— Pan mi musi oddać jeszcze jedną przysługę. W uliczce, za bóżnicą, u stolarza na prawo, w głębi mieszka babka, nazywają ją Magdą. Trzeba ją zawczasu zamówić, niech się czysto umyje, wszystko co potrzebne na miejscu znajdzie... Panu damy znać — zarumieniła się zlekka — jak już będzie po wszystkim... Zapamięta pan: za bóżnicą na prawo...

— Dobrze! — odparł złamanym głosem Czarliński i gdy wyszedł, pomimo zawieruchy, puścił się we wskazanym kierunku, odszukał odpowiedni adres, zastanowił się, czy istotnie zamówić tę kobietę, zdecydował, że nie, a jednak na wszelki wypadek zanotował sobie w pamięci jej mieszkanie.

Zamieć trwała całą noc, szalał wicher i targał tak silnie okiennicami, że Czarliński zasnął na dobre dopiero nad ranem. Gdy się zbudził, było już cicho, za oknem iskrzył się jasny mroźny dzień, widniały zasy śniegu i płowe smużki dymów, unoszących się spiralną linią prosto do góry.

Patrząc w pustą perspektywę ulicy, dostrzegł Szwarzwasera, dążącego pośpiesznie w towarzystwie najbliższej sąsiadki pani Starskiej w kierunku jej domostwa.

Coś go tknęło, przelknął szklanekę grzanego mleka, narzucił na ramiona futerko i, zapomniawszy kaloszy, brnął po kostki w śniegu.

Na skrócie ulicy spotkał jakąś okręconą w chustkę kobietę, z której chaotycznych słów i lamentów wyrozumiał tylko tyle, że tam się coś złego stało, że pani wije się i krzyczy.

Gdy wpadł do pokoju, ujrzał bladą jak kreda, zmienioną z boleści twarz pani Stefanii, unoszące się gwałtownie z pod poszarpanej koszuli piersi, wysadzone z orbit nieprzytomne oczy i chwytające łapczywie powietrze w pół otwarte, spieczone usta.

W mieszkaniu było pełno zawodzących sąsiadek, przy łóżku krzątał się Chaim i rozcierał tartym chrzanem pięty chorej.

— Co pan tu robisz! — krzyknął zdziczałym głosem Czarliński, chwytając felczera za ramię.

— Pan się nie potrzebujesz rozbijać, ja wiem, co ja robię, czy pan nie widzi, jak jej serce pika?

I Chaim w danym wypadku miał rację, był to istotnie niezwykle ostry atak sercowy, ale odchodzący od zmysłów na widok stanu tej kobiety Czarliński wyrzucił Żyda za kark, wypędził wszystkich, zatrzasnął drzwi i zatrzymał się na środku pokoju zupełnie bezradny. Słyszał jej ciężki oddech, widział wzdrygające się piersi i umęczone oczy, pełne cierpienia spojrzenie. Atak jednak powoli się uśmierzał, duszność ustępowała, drganie ciała przeszło w dreszcze, od których poczęły dygotać jej zęby. Wreszcie uspokoiła się zupełnie, zamknęła powieki i zapadła w długotrwałe omdlenie.

Czarliński otulił pieczołowicie jej nogi, naciągnął osuniętą kołdrę na obnażone ramiona i począł się wpatrywać z niezmierną czułością w jej pobielalą twarz i rozchylone usta, których lekkie tchnienie świadczyło jedynie, że żyje jeszcze.

Drgnęła, poruszyła się i, nie odmykając oczu, szepnęła sennie i tak cicho, że ledwie dosłyszał:

— Gdzie dziecko?

Mróz mu przeciągnął po grzbiecie, głos zastął w piersiach.

— Gdzie dziecko? — powtórzyła głośniej i od-
 słoniła wielkie, rozszerzone źrenice.

— Kąpie się — z trudem wy dobył Czarliński
 ze ściśniętej krtani głuchą odpowiedź.

— Gdzie?

— W kuchni, bo tam ciepłej — wyjąkał upa-
 dłym głosem.

— To dobrze — wymówiła i znów jakby usnęła.

Wysiętek wypowiedzenia tych kilku wyrazów
 do tego stopnia wyczerpał Czarlińskiego, że usiadł.
 Szumiało mu w uszach, biły puls w gorejących
 skroniach.

Zapanowała ciężka cisza.

Pani Starska zdawała się spać na dobre, od-
 dychała głęboko i tylko drobne perelki potu na
 czole oznajmiały, że cierpi jeszcze.

Poruszyła kilkakroć ustami i poczęła jak gdyby
 bredzić przez sen:

— Dlaczego on nie krzyczy? Dlaczego tu tak
 duszno i ciemno?

A potem już przytomniej jęła pytać raz po raz:

— Dlaczego dziecko nie krzyczy?

— Śpi.

— Gdzie?

— W kołysce.

— To dobrze! — i znowu zamknęła oczy.

Czarliński przelknął wzbierające łzy i prawie
 modlił się, by już usnęła na wieki.

Ale ona obudziła się i wymówiła dość wy-
 raźnie:

— Proszę przysunąć kołyskę, pragnę go zobaczyć.

Milczał, dygocąc jak liść.

— Przysuń pan kołyskę — napierała się, a gdy nie odzywał się, usiadła na pościeli i potoczyła wkoło wielkimi, palącemi się, jak w gorącej, oczyma.

— Niech pan przysunie, bo wstanę...

Czarliński podniósł się, dźwignięty rozpaczliwym męstwem, ale ona już stała boso, w pół naga, w opadającej z ramion koszuli, wyprostowana, we wzburzonych kruczonych lokach włosów, tragicznie piękna, ale i straszna.

Usiłował zagrozić jej drogę.

Odsunęła go piorunującym spojrzeniem, pełną grozy postawą i zbliżyła się do kołyski. Czarliński cofnął się pod okno skulony, blady, jak trup.

Pochyliła się nad muślinem i raptem zadygotało w powietrzu monotonne, przeciągłe: »A-a-a!«

Ucieła w półtaktu, odwróciła dziwnie zmienioną, jakby w papierowej masce, umarłą twarz i, patrząc nań obląkanemi oczyma, położyła palec na ustach, szepcząc: — Śpi!

Zachwiała się, zatoczyła na ścianę, osunęła na kolana, i jęła bąkać zszarpanym, gasnącym głosem:

— Ja... tu... przy nim... poduszkę...

Głowa jej upadła na posadzkę, z ust wydobył się ni to jęk, ni to świszczące westchnienie, zatrzepotała się gwałtownie i wyprężyła, jak struna.

Napół przytomny Czarliński odczuł zrazu tylko, że się nań wali jakaś okrutna kamienna cisza, potem się przeraził, że ona leży tak spokojnie. Przypadł, pochylił się.

Twarz była jeszcze żywa, ale gdy ujął za ręce, wczuł z nich sztywny chłód; zajrzał w nieodmknięte źrenice: były zaszkłone, jak gdyby zbiełały lzą.

Zrobiło mu się strasznie żal, że wala się na zabłoconej, zdeptanej butami obcych ludzi podłodze, próbował ją podźwignąć i w końcu szalonym wysiłkiem bezwładną, lejącą mu przez ręce złożył na pościeli.

W rysach jej wciąż jeszcze tliły się ślady życia, tylko czoło stało się gładkie, lśniące, jakby pokryte szronem, a niezamknięte oczy zdawały się patrzeć żałośnie z martwej rozpadliny.

Nie mógł znieść przeraźliwego ich wejrzenia. Odwrócił się i zdrętwiałymi palcami zacisnął powieki tak mocno, że aż zakłęśły.

Nie śmiał spojrzeć, co się z temi uroczemi oczyma stało. Zbliżył się do okna, oparł zgryzione czoło o zmrożone szyby i, patrząc z otchłani swego smutku na nieruchomy, głuchy, senny, bezludny, śniegiem jak całunem zaciągnięty step, myślał z cierpką goryczą, ile serc musi się jeszcze okrwawić, ile łez gorących spłynąć, by się ta biała obojętna pustynia rozgrzała i zdziczałe zagony przestały zarastać piołunem.

ZELMA

Stolik pod lustrem w knajpce Sans-Souci nosił sygnaturkę — »zajęty«, przy nim bowiem stale późnym wieczorem, a czasem i o rozmaitych porach dnia, zbierała się artystyczna drużyna — ludzie dość jeszcze młodzi, niewątpliwie utalentowani, ale w przeważnej swej liczbie idący na przepadłe.

Do grona tego należał aktor o wyrazistych rysach, żywej mimice i ładnej postawie, ale z tak przepitem i ochryplem gardłem, że mógł grywać tylko role podrzędne; kolegą jego po fachu i kieliszku był śpiewak, z bożej łaski, który brak szkoły i naderwany głos, zwłaszcza w górnych regestrach, sztukował temperamentem, wyprężaniem rąk i przymykaniem powłóczyстых oczu, co w kabarecie wywoływało pożądane wrażenie.

Do stałych gości należało też dwóch malarzy, z których jeden od czasu zdobycia srebrnego medalu na wystawie szkiców nie mógł się posunąć ani o krok dalej, a drugiemu ciągle coś stawało na przeszkodzie zabrać się do wykoń-

czenia dzieł wielkich i oddawna zapowiadanych.

Najinteligentniejszym i najbardziej wykształconym z całej tej kompanii wykolejeńców był tak zwany poeta — najmłodszy i bodaj najniešťeśliwszy. Wszyscy bowiem jego koledzy miewali chwile tryumfu, i tem się pokrzepiając, żyli.

Mirskiemu nie powodziło się nigdy. Czuł, że posiada dar poetycki, oryginalny i niezdolny do naśladownictwa, które zapewniało innym tytuły znanych i poczytnych, ale zarazem jakąś krzywiznę w tym talencie, skutkiem czego wiersze jego uchodziły za dziwactwa.

Redaktorzy, czytając jego rozczepierzone zwrotki, wruszali ramionami, czasem cytowali je dla śmiechu w odpowiedziach od redakcyi, i jedynie pisma postępowe zdobywały się na odwagę wydrukować coś z tych poezyi, ale zawsze gdzieś na szarym końcu, w jakiejś mało widocznej luce, którą można było byle czem zapelnąć. Wzajemna adoracya, obowiązująca w tem gronie, rozciągała się i na Mirskiego, ale i tu w przystępach dobrego humoru dopuszczano się komicznych trawestacyi jego wyszukanych rymów i na bardzo odległych analogiach osnutych porównań.

Zalewanie tego wspólnego wszystkim robaka braku uznania nie udawało się Mirskiemu tak dobrze, jak innym. Miał bowiem dziwne pod tym względem usposobienie. Podczas gdy towarzysze

jego po odpowiedniej dozie kieliszków nabierali niezwyklej pewności siebie i fantazyi: śpiewak porywał się do operowych arii, aktor przedstawiał bohaterów Szekspira, malarze urągali od mydlarzy wszelkim mistrzom, odgrządzając się, że oni im dopiero pokażą, — Mirskiego, w miarę potęgowania się hulaszczey atmosfery, ogarniał coraz cięższy, beznadziejny smutek — brał głowę w dłonie i zalewał się łzami, otwierał, jak dowcipkowano — dystylarnię.

Pijatyki takie zdarzały się nierzadko, ilekroć bowiem który z kompanii zarwał gdzie kawał grosza, czuł się w obowiązku przepuścić wszystko tegoż wieczoru. Poza tem częstymi fundatorami bib byli tak zwani weseli pasażerzy, przygodni znajomi, przeważnie przyjezdni z prowincyi, którzy, wciągani najczęściej przez aktora w »koło artystów«, poznawali nocne życie miasta.

Od paru dni taką dobrowolną jednak i świadomą ofiarą był daleki kuzyn Mirskiego — Jarzębski, człowiek zamożny i niegłupi, który, przyjechawszy ze wsi, sam odszukał poetę i wyraził chęć wesołem towarzystwie trochę się przewietrzyć i pobomblować.

Dziś właśnie w zamkniętej od frontu knajpie odbywały się szumne poprawiny. Stolik był zastawiony i zalany wódką, portere*m* i szampanem, który pito już bez wyboru, jak się komu zdarzyło.

Śpiewak, purpurowy z wysiłku, wyciągał, ile głosu starczyło:

Wiatr za szybami śmieje się,
Psia krew! — to życie takie złe!

Aktor deklamował do lustra Otella, a jeden z malarzy przy każdym »psia krew« tłukł z pasją kieliszki.

— Do ordynku, panowie szlachta — wprowadził chwilowo jaki-taki ład rozweselony obywatel, napelniając kolejki.

— Niech bractwo żłopie, bo jutro wyjeżdżam — zapraszał bez żenady.

— Złoty chłop, jak Boga kocham! Pożycz mi 10 rubli — zyskał moment przytomności aktor i, wkładając imperyał do kieszeni, wyrzekł z komicznym patosem:

— Ofelio, idź do klasztoru!

— Więc pić, czy nie pić? — zastanawiał się głęboko śpiewak. — Chyba pić! — zdecydował nagle i wysuszał wszystko, co stało w pobliżu.

— Srebrny! — na wystawie szkiców — szarpał malarz Jarzębskiego za rękaw.

— Zostaw, bo mi urwiesz kończynę — bronił się obywatel.

— Co? nie wierzysz! mogę pokazać — wy dobył kwit z lombardu — dotychczas nie wykupiony, pewno już sprzedali, pał dyabli! ale kwit, co mam, to mam i kilka bajecznych szkiców...

mogę ci sprzedać, dla ciebie po 5 rubli sztuka w sztukę.

— Niestety, jutro wyjeżdżam — śmiał się głośno i rozlewnie obywatel — ale trzy wezmę, płacę gotówką, przyslesz mi pocztą — wymienił adres.

— Mirek! cóż ty nie pijesz i siedzisz, jak sowa? — zwrócił się do poety.

Mirskiemu było istotnie markotno, mierziło go tak wyraźne naciąganie, wstydził się za swoją kompanię, widząc, jak krewny wszystko doskonale rozumie i trafnie ocenia.

— Chodźmy już — rzekł sucho — głowa mnie boli, dość tego!...

— No więc, panowie, czas do domu, czas, zabawili nas — zanucił Jarzębski, załatwił rachunek i, nie czekając, aż reszta się wybierze, wyszedł z Mirskim na ulicę.

— Skąpo jedzą, to też się łatwo urzynają, ja mógłbym drugie tyle — gadał, wkładając rękawiczki. — Wiesz co, mam ochotę tak na zakończenie wdepnąć do jakiej dziewczuchy; gdzie tu zobaczyć warto?

— Właściwie nigdzie — najdrożej u Gotlibowej.

— Daleko?

— Spory kawał!

— No to się przejedziemy. Fiakier! — zawołał parokonkę, wymienił adres miejsca i dalej ciągnął: — Ty się ze mną nie żenuj, proszę cię...

wiem, że ci się nie przelewa, a u mnie buraki, jak cukier! i pszenica w tym roku, jak złoto. Mógłbyś do mnie kiedy wpaść, zapołowałibyśmy, odkarmiłbym cię, sam jestem, mam gospodynię — jędrne to i rumiane, ale głupie, jak but, a nawet, jak para, wokół same chamy, bo rozparcelowali. Najbliższe sąsiedztwo o dwie mile — cztery panny na wydaniu, brzydkie jak grzech śmiertelny i całą czwórką na mnie lecą, więc bywam rzadko. Słyszę, ty piszesz, ale w druku cię nie widuję...

Gumy poczęły podskakiwać na gorzej brukowanych ulicach, latarnie stawały się coraz radsze, skręcili w wązki zaułek i zatrzymali się przed dwupiętrową kamienicą z mocno jarzącą się okrągłą lampą.

Przez okratowany otwór w bramie tynęło jakieś oko i odemknęła się furtka.

— Macie tam co świeżego? — zagadnął szwajcara Jarzębski, wstępując na schody.

— U nas pierwszy sort! sam pan wie — odparł odźwierny.

— A co tak cicho, umarł kto?

— No, bo już późno, po fajrancie!

Istotnie, w domu panowała atmosfera znużona i senna. W sali na kozetkach we wólleżającej pozycyi drzemało kilka zaledwie dziewcząt, w kącie ze zwieszoną głową i zsuniętym na czoło kapeluszu kiwał się i coś mamrotał jakiś ululany zupełnie jegomość.

Wejście nowych gości sprawiło pewne ożywienie: niektóre dziewczęta powstały, zjawilo się parę nowych i rozsiadło się w pobliżu.

— Czekał duszko — odsunął Jarzębski jedną ze zbyt obcesowych — daj choć odpocząć i trochę się obejrzeć.

— A ty na którąbyś reflektował? — zwrócił się do Mirskiego.

— Na żadną, jestem za trzeźwy.

— Więc ty, jak to mówią, tylko »w pianom widzie«, może to i dobra metoda — ciągnął, rozglądając się i wzrok jego spoczął na siedzącej w przeciwległym kącie sali dziewczynie, z twarzą posępną i niezwykle bladą, która zdawała się nie zwracać najmniejszej uwagi na całe otoczenie, i to właśnie zaciekało Jarzębskiego.

— Chodź tu, moja mała — kiwnął na nią.

Podniosła się, jak automat, i zbliżyła.

Była to mocna brunetka, nieokreślonych lat, o postawie drobnej, lecz kształtnej. Niemiałą na pierwszy rzut oka surowość jej ostrych, lecz regularnych rysów łagodziły cienie pod dolną powieką i smutne wejrzenie osłoniętych długimi rzęsami oczu.

— Jak ci na imię?

— Zelma!

— No i imię? — pokręcił Jarzębski głową. — Zaczekaj tu chwilę na mnie — rzucił kuzynowi i, poprzedzany przez dziewczynę, udał się na wyższe piętro.

Po wyjściu obywatela wszystko powróciło do dawnej normy. Podniszczone palto i krzywe buty poety nie wzbudzały zaufania. Został zakwalifikowany do kategorii tych gości, co przyszli się »zagrzać« i mogą »postawić« najwyżej... parasol w kącie.

Osamotniony Mirski czekał kwadrans, czekał pół godziny i wreszcie znudzony poszedł szukać kuzyna.

Po schodach dostał się na galeryę, biegnącą wzdłuż całego piętra; wychodziła ona na podwórze, otoczone niewysokim parkanem. Za nim ciągnęły się niezabudowane place, ogrody, szeroki widok na majaczące na widnokręgu, pokryte lasem wzgórza. Mirski zapatrzył się w dawno niewidzianą przestrzeń, w sunące po niebie pierzaste obłoki, niby poszarpane żagle statków, płynących wśród gwiazd, i powoli zatracił poczucie, gdzie jest — zaczęło mu się przypominać dzieciństwo, biały domek na krańcach miasteczka, mały sad, spróchniałe słupy dziecinnej huśtawki i ogarniała go delikatna tęsknota i subtelny żal za tem wszystkim, co jakoś nieznacznie przepadło, stopniowo obsuwało się w ziemię, rozpraszało w czasie, aż rozwiało zupełnie, jak roztrągany wichrem dym.

Głos obywatela, dobywający się z za sąsiednich drzwi, obudził go z zadumy. Zbliżył się i zastukał.

— To ty, Mirek?

— Ja!

— Otwarte!

Mirski wszedł.

Jarzębski siedział w paltocie, w kapeluszu na bakier i popijał wino. Naprzeciwko stała ubrana jak w sali, Zelma z wyciągniętą ręką w estradowej pozie.

— Oryginalna dziewczucha — śmiał się kuzyn — zamiast pić, łupi mi tu rozmaite francuskie wierszydła, jak z rękawa sypie... Mussety nie Mussety, co chcesz... do twojej maści — para!

— No wal dalej!

Et le deuxième sentit soudain
Une effusion de la douceur,
Une flamme en ses yeux éteints,
Qu'il lui soit fait selon sa foi, seigneur!
Quelqu'un avait clos mon tombeau,
Quelqu'un avait frappé mon âme,
Mais qui donc apporta la flamme
Et ressuscita les flambeaux?

Głos jej zacichł i zamyśliła się.

— Verlaine! — ogłosiła po chwili i wypowiedziała pieśń jesieni.

Mirski tłómaczył ten wiersz — to też, gdy skończyła, zaczął po polsku:

Posępnie lka
Skrzypcowa gra
Jesieni...

— Widzisz, to to samo po naszymu — objaśniał Zelmie obywatel — a ten pan, to taki sam poeta, jak ci twoi; rymy mu równie łatwo płyną na język, jak innemu ślina.

— Poeta! — wymówiła niedowierzająco dziewczyna i badawczo popatrzyła w twarz Mirskiemu.

— Powiedz jej co jeszcze!

Mirski, który nie miał nigdy chętnych słuchaczy, począł deklamować z niezwykłym przejęciem; głos miał przytem dźwięczny, melodyjny, pełny wibrujących akcentów.

Podczas gdy mówił, dziewczyna go wprost chłonęła spojrzeniem, usta miała w pół otwarte, jakby jej tchu brakło, a na bladej twarzy pojawiły się jakby drgawki silnego wzruszenia.

Gdy skończył, rzuciła się ku niemu.

— *Tu es vraiment poète, poète, poète* — powtarzała raz po raz — jak ślicznie to »sonne«, jak »zwonek« — mówiła żywo z cudzoziemską po polsku, wplatając co chwila francuskie wyrazy.— *Encore, encore!* — nalegała gorączkowo, cała w płomieniach.

Gdy Mirski, nadeklamowawszy się do syta, przerwał, kuzyn rzekł wesoło:

— Doprawdy spodziewałem się tu wszystkiego, ale nigdy takiej ucztę artystycznej; dzięki wam opilem się poezją, jak bąk.

Na te słowa Mirski, jakby zgasł, uczuł wstyd i silny niesmak.

— Nie przeszkadzam — mruknął, wycofał się na ganek i oparł o balustradę.

Zły na siebie patrzył ze zmarszczonemi brwiami w odsłonięty księżyc, nadaremnie usiłując stłumić w sobie rozszeptane wiersze własne i cudze, które się wydobywały samorzutnie z rozbudzonej pamięci.

Nagle poczuł dotknięcie. Odwrócił się i ujrzał bladą twarz Zelmy i pałające, jak węgle, oczy.

— *Allons vite, vite* — pochwyciła go za rękę, wciągnęła do małego pokoiku, zamknęła drzwi na klucz i rzuciła mu się na szyję, zacałowując czoło, oczy i usta. — Ty poeta — szeptała gorączkowo — *je t'aime, baise moi...*

Zrzuciła szybko ubranie i oddała mu się jak w szale, w nagłym dawno niezaznanym wybuchu namiętności. Potem leżała długo z zamkniętymi szczelnie oczyma, uderzająco, prawie papierowo blada. Westchnęła, uniosła leniwie powieki i, patrząc głęboko w wzburzoną twarz Mirskiego, wyszeptwała tonem twierdzenia:

— Ty, poeta! — ujęła go za rękę, pociągnęła po smukłych palcach i przytuliła do dłoni ciepłe, drgające usta.

Tymczasem Jarzębski niecierpliwił się na korytarzu, dobijał się do drzwi, aż wreszcie natrafił na właściwe.

— Zaraz — uspokajał go Mirski; poprawił odzienie i wyjął pieniądze.

— *Jamais!* — zachnęła się Zelna — ale ty

przyjdiesz jeszcze, kiedy przyjdiesz? — dopytywała się zdyszany z podniecenia głosem, chwytając Mirskiego spazmatycznie za rękę.

— Jutro! — odparł oszołomiony całym zajściem Mirski, oddał jej pocałunek, i wyszedł wzruszony.

— A, niech cię dyabli! — poklepał go kuzyn — toś zuch, a to nie Zelma, lecz szelma prawdziwa: dałem jej pięć rubli, wzięła, ale zaczęła się wymawiać zmęczeniem, zakleptała mi wierszylami głowę i doczekała się młodszego. Pierwszy raz mi się coś podobnego zdarza — gadał rozbawiony, idąc po schodach. — I powiedz mi, dlaczego wszelkiej kategorii niewiasty na was lecą; co mają rymy do tego interesu, nie rozumiem tej babskiej logiki.

— Europejski — zakomenderował dorożkarzowi — doprawdy bajeczny kawał, zostałem zdystansowany z kretesem... No, tu cię wysadzę, szczęściarzu. A, jakbyś chciał przyjechać, piśnij słówko, koszta podróży biorę na siebie, tylko moja Marysia pójdzie pod klucz!...

— Do widzenia — odezwał się Mirski i, wsłuchując się w miarowy tętent oddalających się koni, myślał o przygodzie, jaka go spotkała, jakby o zajściu niezupełnie prawdopodobnem a jednak zastanawiającem. — Co to być mogło? — rozważał — czy chwilowy kaprys historycznej, zdeprawowanej istoty, czy rzeczywiste uniesienie, wywołane jego talentem, pierwsze ujarznienie

żywego serca mocą poetyckiego czaru, tryumf, dowód uznania, początek powodzenia, zadokumentowany w tak niepowszedni sposób?!

Nazajutrz był u Zelmy i począł bywać coraz częściej, witany przez nią jak bóstwo, żegnany jak kochanek. — Ty, poeta! — mówiła mu z pełnemi zachwytu oczyma i na ten temat była gotowa godzinami rozprawiać, choćby do rana. Lubiła przykładać ucho do jego piersi i gwarzyć o jego sercu.

— Ja wiem, ty tam masz wszystko, i to, co płacze, i to, co smutne, to, co się żali i śpiewa... tak, jakby *un coquillage* przyłożyć do ucha, u ciebie tak echo morza szumi... tobie dość zapragnąć i powiesz, co szumi, bo ty poeta. W tobie jak *un violon* wszystko gra, a jak ty zechcesz, to człowiek zapomina o świecie i czuje tylko, że jest *un chagrin, et une douleur tranquille, calme, presque douce*.

— Mówisz ciągle o mnie, opowiedz coś o sobie — próbował dopytywać się Mirski.

— Poco? i cóż ja jestem, nic już, *un cimetière abhorré de la lune* — przerywała cytata z Baudelaire'a wszelkie badania, tak, że nie mógł się nic z jej przeszłości dowiedzieć.

Znać w niej było tylko pochodzenie z lepszej sfery i wielkie odczytanie a nawet znawstwo poezyi; widział także, że bladła, jak trup, gdy ją odwoływano do gości, wracała, jak z krzyża

zdjęta, i siadała posepna, ze skamieniałą twarzą, unikając jego spojrzenia.

— Nie przychodź tak wcześnie — zawołała kiedyś z rozpaczą, chwytając się za skronie — po trzeciej, mam prawo być wolna!

— Przecież ja i tak wiem — zauważył — czy nie mogłabyś stąd wyjść?

— Wyjść — stąd tylko wynoszą! — wymówiła dziko i zastygłe jej rysy ściągnęły się w uśmiech goryczy.

Strzegąc pilnie tajemnic swych tragicznych kolei, z niezmiernem zajęciem słuchała, gdy Mirski opowiadał jej o sobie; szczególnie zwłaszcza zaciekawiała ją sekrety twórczości, o której poeta, nie mając przed kim się zwierzać, rozwodził się czasem, niewiele się troszcząc o to, czy go rozumie.

— Dziwisz się, że mało piszę, istotnie, wyrzucam z siebie znacznie mniej, niż mam; całe tematy przeżywam w myśli, przetrawiam od początku do końca i, jako rzecz dokładnie już poznaną, wprost lenię się napisać. Zresztą, widzisz, wiem, że w technice pisarskiej to marzone musi stracić wiele subtelnego czaru, który stanowi najwyższą wartość, a na który niema słów w języku ludzkim. Czasem myślę, że wolałbym być muzykiem, który może nietylko tony, ale ich ćwierci wyznaczać i zamiast słowem, które ma ściśle określone znaczenie, posługiwać się bez-

imienną nutą nastroju. Muzyk śpiewa jak ptak, poeta musi nazywać jak uczoney.

— Ty, mój ptak! Jak ty mądrze mówisz, ja nie wszystko rozumiem, ale ja wiem, o wiem — potrzasała głową — to znaczy — wskazała na serce: — tu co innego, a tu — dotknęła ust — nie to samo! Co znaczy marzyć? — spytała.

— *Réver!*

— *Réver* — powtórzyła, a siedziała właśnie u jego nóg — *ne bouge un moment* — oparła głowę o jego kolana, zamknęła oczy i twarz jej stała się jakby martwa, głęboko uszpona, a potem rozchyliły się lekko usta, zatulał się jakby półuśmiech, po rysach przebiegły wzruszenia cienie.

Trwało to z minutę, poczem uniosła powoli rześiste powieki i wymówiła sennie:

— Ja marzyłam, tak mi było dobrze i smutno, i cicho, jakbym już umarła, ty siedziałeś przy *mon tombeau* i myślałeś: »Tam Zelma leży«, a potem odszedłeś, a ja słyszałam każdy twój krok i zbudziłam się w grobie. Chciałam się zerwać, by cię dogonić, ale wieko było mocno zabite, och mocno! — Żałośnie zadrgały jej usta, uniosły się piersi głosem westchnieniem.

Czasem, gdy było duszno, wychodzili na balkon.

— Tu cię dotknęłam — stawała w miejscu pierwszego spotkania i, wsparta o jego ramię, wodziła jakby zdziwionem spojrzeniem po pustych przestrzeniach, sadach, wzgórzach i niebie-

tak innym i uroczym przy jego hoku wydawał się jej tylekroć oglądany pejzaż.

Kiedys, błędząc długo wzrokiem po gwiazdach, spytała go raptem:

— Czy jest Bóg?

— Nie wiem — odparł.

— Musi być — wyrzekła z mocą.

— Dlaczego?

— Bo musi być ktoś taki, coby mógł wszystkich przygarnąć i wszystko wszystkim przebaczyć! Tak! — dodała i popadła w zadumę.

A Mirskiemu przyszedł na myśl ustęp z Beniowskiego o Bogu i wydeklamował go półgłosem.

Zelma nie zrozumiała wszystkich słów, ale odczuła potęgę i olbrzymi rozmach wspaniałych strof.

— *C'est sublime!* — zawołała entuzjastycznie — powiedz co jeszcze.

Zaczął:

Smutno mi, Boże.

Gdy skończył, ujrzał w jej oczach łzy.

— Małeńka dziecina, *c'est l'enfant* — szepnęła. — Tak, *un tout petit. Si petit* — rozłożyła dłonie na miarę niemowlęcia i wybuchnęła nagle spazmatycznym, wstrząsającym pierś i trzewia płaczem.

Mirski zaczął ją uspokajać, wreszcie zniecierpliwił się i rzekł dość ostro:

— Przestaniesz!

Umilkła natychmiast i stała pokornie, lękając się. Gdy zaś Mirski podniósł niespodziewanie rękę, chcąc wskazać spadający właśnie meteor, w oczach jej odmalował się przestraszony, paniczny niemal przerażenie, z którem mu się rzuciła błagalnie do nóg.

— Co ty wyrabiasz! — podniósł ją zdumiony.

Drżała cała, jak w febrze, nie mogąc złapać głosu, aż wreszcie wyjąkała łopoczącemi i z resztą lęku wargami:

— Myślałam, *que tu vas me battre...*

— Ja, cóż znowu... co za głupi pomysł!

— Tak! tak! ja głupia! — powtarzała cała jeszcze zmieniona — zapomniałam, że ty inny ty, poeta!

Mirski popatrzał na nią badawczo i rzekł:

— Kto cię bił i kiedy?

Milczała długo, czoło jej się zmarszczyło, jakby wysiłkiem namysłu.

— *Tout passe* — machnęła ręką. — Chodźmy już, bo zimno — dodała, a gdy się kładli, wymówiła cicho: — Gdybyś chciał jednak kiedy, to dobrze, tylko *pas trop fort* i po twarzy jej przeleciał nikły podskórny rumieniec.

Było to pierwsze oddawna i jedyne niejako erotyczne jej napomknienie; stopniowo bowiem wyzbyła się w stosunku do Mirskiego wszelkich zmysłowych pierwiastków i inicjatywa w tym kierunku nie wychodziła od niej już nigdy.

Serdeczne uwielbienie, duchowe obcowanie z poetą, słuchanie jego głosu i wierszy, z których część umiała na pamięć, wystarczało jej zupełnie. Poddawała się jednak posłusznie jego żądaniom czasem beznamiętna, ale zawsze tkliwa.

Truchlała na samą myśl, że mogłaby ten jedyny, w jej sytuacji ludzki i to z takim, w jej mniemaniu, niezwykłym człowiekiem stosunek utracić.

Czuła, jak jej zamarła i niemal doszczętnie zwiędła, zatratowana dusza przy nim rozkwita i zmartwychwstaje. W godzinach jego obecności miała wrażenie, że się wydzwiga ze swego grobu na jasne słońce, że nie jest już w tym domu, ale daleko poza jego murami i to z poetą sam na sam.

Za to jedno gotowa była błogosławić swej całej doli, gdyby nie głuche poczucie, które chwilami powstawało w niej i wkraczało jak potwór w progi świadomości, że tak wiecznie trwać nie może, że ten stosunek ich nie ostoi się do końca, że to się kiedyś musi urwać nagle i bezpowrotnie.

Ale w trybie życia z dnia na dzień odzwyczaiła się tak dalece dłużej zastanawiać nad przyszłością, że tego rodzaju przewidywania, niby raptowny bolesny kurcz, chwytaly ją na bardzo krótko i mijały prędko.

Tymczasem była istotnie jedyną towarzyszką poety i czuła to dobrze, gdyż ją wtajemniczał w takie dyskretne sekrety, jak perypetye twór-

czości, pomysły przyszłych dzieł; zwierzał się z najfantastyczniejszych zamiarów.

Jednym z takich, który ze względu na naturę księgarzy należało nazwać bardzo fantastycznym, był powzięty pod wpływem uwielbień Zelny i wspólnie uknuty plan wydania pierwszego zbiorku poezyi. I sprawa ta wysunęła się wkrótce na stanowisko naczelne.

Mirski tak dalece zapalił się do tego projektu, że niemal o niczem innem nie potrafił mówić.

Zelma czuła się szczęśliwą i dumną, że go mu pierwsza poddała, a gdy, rozprawiając na ten temat, poeta wyrażał się czasem nasze wiersze — to słowo nasze otwierało przed nią od lat zabite na głucho dziedziny duchowych rozkoszy. Z nabożeństwem i niemal mistycznym wzruszeniem oglądała przepisany na czysto rękopis i łzy jej napływały do oczu na widok czarnych kolumn jego zgrabnego pisma.

Tomik ten postanowiono wydać ozdobnie z winietą i inicjałami w formacie małej ósemki, jeśli się uda, to choć część na czerpanym papierze.

Nad kwestyą honorarium nie zastanawiano się wcale — Mirski był przygotowany na najgorsze, a nawet za darmo, byle tylko dać się poznać światu i zdobyć imię. Ale początki pertraktacyi okazały się nadzwyczaj trudne. Najpoważniejszy księgarz odmówił, wymawiając się ilością zamie-

rzonych nakładów, drugi wziął, tydzień pottrzymał i oddał, drobniejsi nawet gadać nie chcieli.

Mirski zrazu zdawał Zelmie szczegółowe relacje ze swych wędrówek, ale wkrótce przestał, stając się rozdrażnionym i ponurym.

Przychodził rzadziej, niż zwykle, złościł się o byle co, irytował się czasem, że go nudzi — aż kiedyś, nie wyrzekłszy prawie słowa, jak inni goście, wziął ją brutalnie i bez pożegnania opuścił.

Zelma długo leżała zdętwiała, z zaciśniętymi powiekami, bez jednego ruchu, jak trup. Czuła absolutną pustkę w głowie i bolesne rwanie w sercu.

Miała wrażenie, że spotkało ją coś okropnego, coś straszniejszego, niż ten dzień, gdy się w takim domu znalazła.

Zdawało się jej, że lada chwila, jak wówczas rozpadną się narozcież drzwi i stanie w progu ta sroga krostowata postać, zezowaty zbir, pogromca opornych, z kańczugiem w ręku i szyderczem i groźnem pytaniem, czy wyjdzie do gości?

I jak wówczas, z przerażeniem kulilo się w niej serce i ramiona i gdzieś zapadały plecy przed świszczącym zamachem batoga.

Uległa wtenczas losowi, ale teraz już uledez, nie chciała za nic i ze zgorzałego mózgu tryśnęła zbawcza myśl.

Przypomniało jej się, że Mirski napomknął

o jakimś drukarzu, który za sto rubli podjął się nakładu. Była to suma dla niej niezwykła, ale przyszło jej do głowy, że jednak nie niedostępna.

O tego to drukarza, gdy Mirski się zjawił, zaczęła się wypytywać.

— Cóż z tego, — zauważył niechętnie — dyabłu-bym zastawił duszę, gdyby tyle dał za to... Sto rubli, bagatela. — Zamyślił się, przypomniał sobie oferty kuzyna, ale stanęła w nim dęba ambicya na samą myśl, by mu się przyznać, jak go mało cenią. — Niema o czem gadać — wymówił sucho — lepiej spać!

Wkrótce też zasnął, a ona całą noc w męce obmyślała swój zamiar, ciężko pasowała się z sobą, wzdrygała się ze wstrętu wobec przewidywanych scen, wahała się, ale gdy ją zegnał, pocałowała go tkliwie w czoło i rzekła zdeterminowana, głosem stanowczym:

— Nie martw się, wszystko będzie dobrze, proszę cię tylko, nie przychodź, aż za tydzień.

Mirski kilka dni nie był, którejs jednak nocy wstąpił, jak zwykle późno, po fajrancie. Pokój Zelmy był pusty; zato w sąsiedniej salce za ścianą rozlegał się gwar, śmiechy, piski, hulaszczce śpiewy, odgłosy pijanej orgii.

Spocony posługacz biegał z butelkami z góry na dół. Chwilami z drzwi wypadały pijane, wpółnagie i rozognione dziewczęta i bez żenady chłodziły się na ganku.

Mirski, czając się w pokoju, chciwie patrzył

na wszystko z pewną drobiną zazdrości i myślał z goryczą:

— Hulają sobie ludzie i mają za co?!

Wtem do numeru wpadła Zelma, rozczochrana, w poszarpanej od góry do dołu i złanej winem koszuli.

Gdy ujrzała Mirskiego, krótki, żaloszny krzyk wydarł się jej z piersi, opuściła bezwładnie ręce, rozgorączkowane oczy przygasty, jakby zasły szklistą błoną, a na bladą twarz wystąpiły suche wypieki.

— Po coś ty przyszedł! — wyjąkała prawie ze zgrozą.

— Pięknje się bawicie — wyrzekł szyderczo Mirski.

— *Ils sont sales, lâches, dégoutants, mais ils sont riches, riches* — jakby tłómacząc, powtarzała z rozpaczą.

— I to racya, twoja racya — wycedził przez zęby Mirski, odsunął ją z drogi i wyszedł.

Dwa tygodnie go nie było, a Zelma przez ten czas wprost szalała. Koleżanki nie mogły jej poznać, gospodyni nachwalić. Jakby szatańskim sposobem zdobywała sobie najbogatszych gości, przeważnie sprośnych, znanych z perwersyjnych skłonności podtatusiałych w u j a s z k ó w.

Któregoś dnia jednak skończyło się wszystko, jak uciął, i przestała zupełnie wychodzić do sali, co za przysporzone dochody uchodziło jej płazem. W parę dni potem zjawił się Mirski.

— Ślicznie wyglądasz — zauważył przy powitaniu, patrząc na jej storturowane wprost oblicze i podbite sińcami oczy.

Nie odpowiedziała nic, spojrzała tylko nań winowajczo, ale jasnymi, prawie promiennymi oczyma. W milczeniu zamknęła na zasuwkę drzwi, zasłoniła starannie ręcznikiem dziurkę od klucza, spuściła story i uśmiechnęła się zagadkowo, patrząc na zdumioną temi czynnościami twarz Mirskiego, potem odrzuciła dywan z przed łóżka i Mirski ujrzał rozestane srebro i papierki.

— Akurat sto rubli — rzekła tryumfująco, zgarnęła pieniądze, wsypała w leżącą na stole czapkę i szepnęła ostrzegawczo: — Tylko sza! Bo gotowi odebrać!

Mirski osłupiał.

— Co to ma znaczyć? — wybąkał — ależ ja za nic... — począł się wzbraniać, domyśliwszy się wszystkiego.

Lecz Zelma jęła go całować po rękach i mówić przejmującym, przerywanym z braku tchu głosem:

— Przecież ja-bym nigdy tak... Ty musisz, mówiłeś sam: dyabłu duszę... a ja i tak... wszystko jedno, wiesz przecie, czem jestem! Nic... *vaut rien!*... Oni i tak znajdą, zabiorą i jeszcze obiją!... Niech wiem za co... niech powiem Bogu, gdy spyta!... — I załzała się łzami.

Mirski szczerze się wzruszył; mówiła przeko-

nywająco, pokusa była silna, drożył się jeszcze trochę, ale zgodził się wreszcie.

I nastaly dla niej cudne dni.

Zalatywał często, pokazywał jej korekty, wybierali wspólnie papier, oglądali winiety, sporządzone przez znajomych malarzy, i w toku tych spraw stosunek ich jakby się czemś nowem nasycał, stawał się mniej osobisty i jednocześnie czysty.

Mirski był tak dalece pochłonięty wydawnictwem, że nie interesowało go nic nad to, w gorączce tej, jakby się wypalił doszczętnie pociąg seksualny, z czego Zelma i cieszyła się i niepokoiła zarazem.

Wreszcie kiedyś wpadł, jak burza, by oznajmić, że jutro pierwsze egzemplarze będą gotowe i przyniesie pokazać.

Wiadomość ta sprawiła na Zelmie wstrząsające wrażenie.

— Już! — wymówiła prawie z lękiem, zakolała i chybnęło się spłoszone serce, aż dech jej zamarł w piersiach.

Trwało to jednak chwilę, poczem doznała wrażenia, jakby się w niej rozlało różowe światło wschodzącego dnia uroczystego święta, na które przygotować się godnie należy.

☞ To też, gdy Mirski zjawił się nazajutrz, prawie nie poznał ani jej, ani pokoju. Numer był czysto wymyty, łóżko załane świeżą pościelą i przykryte kapą, znikły ze ścian pocztówki, wa-

chlarze — wszystko, co czyniło z mieszkania tandetny buduar — pokój przypominał skromną stancijkę studentki. Zelma zamiast luźnego szlafroka miała na sobie ciemną szczelnie opiętą sukienkę, ze sztywnym białym kołnierzem. Uczesana gładko, z puszczoneymi po plecach kruczymi warkoczami wyglądała na młodą, ale poważną już panienkę. Na stoliku, zasłanym serwetką, zamiast świeczki paliła się nieduża lampa, przysłonięta zieloną umbrelką, stały filiżanki, cukiernica — w kącie szumiał mały samowarek. Na powitanie zamiast pocałunku podała mu szczupłą rękę, pozdrawiając mocnym uściskiem.

— Zaraz, tylko zaparzę herbatę — zaczęła się krzątać trochę nerwowo po pokoju, niby zażenowana brakiem wprawy gosposia.

Mirski tymczasem rozwijał z papieru książkę. Był to chudy tomik, rzeczywiście wydany bardzo ozdobnie, w białej jak śnieg okładce, z niebieskim fantazyjnym irysem od tytułu pierwszego wiersza.

Zelma nalala filiżanki, siadła silnie zmieniona z bledszą niż zwykle, jak marmur, twarzą i rzekła prawie uroczyście:

— Nikt nam nie przeszkodzi, czytajmy!

Mirski odchrząknął i zaczął melodyjnie, umiejętnie akcentując wyrazy, deklamować. Czasem przerywał — zwilżał gardło herbatą, przewracał szeleszczącą kartkę i ciągnął dalej, wsłuchując się z upodobaniem we własny głos i własne rymy.

Zelma szeptała w sobie umiane na pamięć wiersze, nowym przysłuchiwała się w skupieniu, odgadując intuicyjnie znaczenie poszczególnych wyrazów.

Wzdrygnęła się nieznacznie, gdy uловиła sens nieznaney sobie najmniej zagmatwanej strofki:

Kto palić pięknu chce znicze ogniste,
Musi stać ciągle przed aniołów strażą,
Mieć duszę jasną, serce wiecznie czyste,
Nie znać występku, bo zelżoną twarzą
Nie godzien patrzeć jest w piękna oblicze,
Kto palić pięknu chce ogniste znicze...

Zadrżała głębiej, gdy Mirski po tym wierszu zamyślił się i drasnął ją ukradkowym spojrzeniem, a zamarła cała, kiedy autor resztę tomiku jął czytać prędko, niedbale, byle zbyć.

— Koniec! — oświadczył dobitnie i zamknął książkę, przyglądając się z zadowoleniem okładce.

Koniec! — wyraz ten jak wystrzał wybuchnął w jej mózgu i jakby na moment zamroczył, aż pociemniało jej w oczach. Nastąpiła długa, złowroga, rozciągająca się dla niej w bezmiar pauza milczenia, w której czuła, jak wyczerpuje się wszystko, wysnuwa się szybko ostatnia wyciągnięta, jak struna, złota nić i zaczynają się kosmate szorstkie sznury, grube ordynarne powrozy, poplątane w stryki postronki.

Samowar piszcział żałośnie, ćmiła coraz wątlejącym płomieniem gasnąca lampa, w pokoju robiło się szaro, niemo, samotnie i smutno.

— No, czas chyba iść — odezwał się wreszcie Mirski — zostawię ci ten egzemplarz, będziesz miała pamiątkę.

Zelma długo nie mogła się zdobyć na odpowiedź, głos jej jakby stęzał i uwiązał w krtani.

W końcu podniosła się sztywno, jak automat, odsunęła szufladkę, wyjęła tani złoty medalionik i wymówiła starganym głosem:

— Książkę weź — nie powinna tu zostawać, a ode mnie przyjmij ten souvenir...

Mirski obracał w palcach medalik — odczytał cyzelowany napis: Lisette — prawdziwe imię Zelmy, nacisnął mimowoli sprężynkę i ujrzał wewnątrz promyk niezwykle delikatnych jasnych włosów.

— Cóż ja mam z tym fantem robić? — próbował zażartować.

— To także nie powinno tu zostać — wymówiła wystygłym tonem i w zwięzonym boleśnie żrenicach mignął błysk rozpaczy.

— Ha, skoro chcesz — ziewnął zlekka Mirski, wziął książkę, wsunął machinalnie prezent w kieszeń od kamizelki i zabierał się do odejścia. Wyszła za nim na galeryę — tu przytrzymała go kurczowo za kiść ręki, ściskając do bólu.

— Czas już! — odezwał się po chwili Mirski i postawił kołnierz palta, bo była sina chłodna noc.

Rozjęły się bezwładnie jej palce i zadygotała, gdyby w dreszczach.

— Wracaj i ty do pokoju, bo się przezię-

bisz — posłyszała, jak przez mgłę, uwagę, a potem jego oddalające się po schodach stąpania, które rozlegały się w niej, jak spotęgowane echo, idące z niezmiernej przestrzeni.

Trzask furtki wydał się jej, jakby waleniem się jakichś osypisk ze żwiru i gruzu.

— Koniec — w szumiącej głucho ciszy szedł jej po nerwach ostry szept, wkręcał się we wszystkie szczeliny mózgu, wtłaczał się z krwią w serce. Raptem przeszył ją nawskróś przejmujący gwizd i ogłuszyło dudnienie toczących się gdzieś wagonów.

Słyszała miarowy wark kół, czuła, jak sapie i dyszy lokomotywa, zmordowana ustawicznym dźwiganem olbrzymich ciężarów. Straszne to znużenie zaczęło się jej szybko udzielać, uczepliła się rękami za balustradę i, by nie upaść na wznak, dla przeciwwagi pochyliła się naprzód i zwiśniętą twarzą zapatrzyła się, jak w otchłań, w zalane ciemnością dno podwórza. Tam, jakby się coś potwornego poruszyło i jęło czołgać, wyciągając płaskie, lepkie z błota macki.

— Koniec! — zgrzytnęło jej w głowie, jakby pękł szew w czaszce, i w tej samej chwili, niby obca siła, zerwała z baryery jej zaciśnięte konwulsyjnie palce i struchlała z przerażenia runęła w dół, aż stęknęła głucho ziemia. Ale cały dom spał, sprzątnięto więc jej zgruchotane zwłoki dopiero nad ranem.

RIEN NE VA PLUS

Z mgławicy dni słotnych, po nocy niespokojnej i rozwichrzonej, wychylił się tak cudowny poranek, że najbardziej zaawansowani suchotnicy poczęli wierzyć w powrót do zdrowia, a początkujący — Leski, puściwszy w trąbę przestrogi lekarzy, żwawo i raźnie wszedł aż na szczyt Berigo, skąd, dysząc lekko, począł rozglądać się ciekawie.

Zalew słońca był już wszędzie w powietrzu i na wzgórzach i morzu. Sypał się wokół niego płomienny, rześisty pył. Żarzyły się ogniem czerwonym dachówki zgromadzonych w rozdole will; oślepiąco błyszczały nagie urwiska Madonny de la Guarda; miliardami iskier wibrowała śwież turkusowej zatoki, na której stojące nieruchomo żaglowe barki czyniły wrażenie ni to rozbitych na tłącym się stepie namiotów, ni to błędnych, zbielełych, złoconych widziadeł.

I cały ten brzeg, dobrze znany, dziś jakby odmieniony nagle ognistym dotknięciem, zjawił się oczom Le kiego nie jako zewnętrzny realny

pejzaż, lecz raczej plastyczne marzenie duszy o czemś słonecznym, błękitnym i pięknym.

Patrząc, zdawało mu się, że snuje sam z siebie ten świetny, jasny sen. Oskrzydlał go zachwyt, a jednocześnie owiewał ów tęskny, podniosły smutek, który się zrywa na ogromie morza, buja w szafirowej głębinie nieba i skrapla się pod sercem w nieschlōniętą drobinę wieczystego żalu, że się z tem wszystkim już niepodobna zespolić, mieszać i zapomnieć się raz na zawsze.

Wtem wizya pierzchła spłoszona; ostry gwizd rozdarł błogość uśpienia. Leski drgnął i machinalnie jał ściagać uwagą czający się brzegiem pod skałami pociąg, który, czołgając się szybko, niby olbrzymia jaszczurka, to krył się w nory licznych tuneli, to znów się wysuwał z obłoku pary i dymu.

— A gdyby tak się kropnąć do Monaco! — dojrzał naraz dawno knuty zamiar i »lekkomyślny«, jak się w tej chwili nazwał, młodzieniec, objąwszy raz jeszcze krótkiem, ale pamiętliwem spojrzeniem cały widok, schodził pośpiesznie w dół, w kierunku stacyi.

Zaledwie zdążył kupić bilet *andata e ritorno* i wskoczyć do pustego przedziału, trzasnęły drzwiczki, rozległy się okrzyki: *pronti! partenza!* pociąg pisnął i kazał się klaniać pozostałym maruderom i gapiom.

Na peronie, udając wyśmienicie atak nastawioną gitarą, w zsuniętym na tył głowy bolero, młody Włoch wyśpiewywał z wielką brawurą

marsza bersalierów; dalej grupka wędrownych muzykantów, brzęcząc w mandoliny, wyciągała piosnkę *O sole mio!* Słabe z początku dudnienie kół nie głużyło ani głosów słodkiej melodyi, ani łagodnego klekotu fal morza, które jak gdyby i jej wtórowały i lekko chygotały wagonem i wprawiały zarazem w dziwne drżenie serce Leskiego, który, wzruszony radośnie, rzucał oknem soldy i odpowiadał znakami kapelusza na ukłony obdarzonych i ich wesole *a rivederci! grazie, si-gnore!*

Gdy znikli, usiadł i cieszył się, że jest sam, więc ma wolny dostęp do widoku na obie strony. Z jednej grała i mrużyła powieki promienna roztocz Liguryjskiego morza, z drugiej — sterczały strome, skaliste wzgórza, pokratowane murami na klatki, z poza których wychylały się wachlarzowate czuby palm, kolczaste szpony agawy, ciekła purpura pnących róż i wzbierały mocnozielone potoki bluszczów. Roślinne, bujne i kwielne życie zdawało się tu tryskać wprost z rumowisk kamienia. Potem tor odszedł od brzegu, rozwalila się dolina na obie strony, góry cofnęły się w dal i urosły zarazem; na szczytach zaskrzył się śnieg, po reglach szły szeregami ciemne pinie i podszyte srebrem tłumy podobnych wierzbin oliwek. Czarna czeluść — i po chwili Leski znalazł się jakby w olbrzymiej oranżeryi. Po lewej ręce na płaskim wybrzeżu stały się ponsowe lany gwoździków i lewkonii, po prawym pagór-

kowatym wśród guzowatych zbronzowiałych pni palm chwiały się śmigłe lodygi świeżo wystrzelonych aloesów, dźwigały się, jak budowle z wielkich liści złożone, potężne magnolie, tu i owdzie nieruchome cyprysy, niby kaplice milczenia, ostrą swą wieżycą przerastały kępy drzew, krzewów i pnączy wielokroć nieznanych.

Niektóre z nich kwitły właśnie.

Z czerezy zieleni wyróżniały się, jak korowody ślubnych par, białym puchem odziane wiśnie i jabłonie, po rozrosłych mimozach tak, jak lite szaty kobiet dojrzałych, spływało jasno-żółte roztopione złoto, a dalej, niby wątle dziewczyny w różowym muślinie, stały orszaki bezlistnych brzoskwiń, czyniące w lotnej, promiennej swej mgłę wrażenie istot wyschniętych od ognia uczuć przedwczesnych. Ogrzane powietrze ziało zapachem; miejscami przezierala przez kraty zieleni różnobarwna mozaika kształtnych domów.

Znów tunel i zapadło się wszystko w ciemność, jak przelotne widzenie w otchłaniach pamięci.

Pociąg wyskoczył na krawędź niziny.

Zamigotały w oczach drobne zmarszczki roztoczystej powierzchni, wzrok Leskiego poniosło z początku daleko, daleko — a potem bliżej jął zapatrywać się w wielkie, jakby wyodrębnione z reszty drgającej wody nieruchome tafle, niby przezroczyste płyty marmuru o tle błękitnem, seledynowych plamach i żyłach słońca. Gdy pociąg

stawał, słycać było dyskretny, a ustawiczny głos bijącej fali, która zdawała się szeptać i gaworzyć o jakichś rzeczach dziwnych i odległych — o swoich przedwiecznych sprawach, zawitych kolejach, tajemnych tęsknotach, zadawnionym smutku. W sennem zamyśleniu o tej ich mowie minął Bordigherę, machinalnie przeciągnął oczyma po wzorzystych płachtach, rozwieszonych wzdłuż koryta jakiejś rzeczki, i ocknął się zupełnie w Ventimiglii, gdzie należało się przesiąść.

W francuskim coupé zyskał towarzyszkę podróży.

Była to młoda kobieta, ubrana z pewną koietyrjną prostotą w piaskowy kostyum podróżny i biały boerski kapelusik, który wdzięcznie odbijał od ciemno-kasztanowatych włosów tak obfitych, że prawie obciążających kształtną jej głowę.

— Wcale niczego i szykowna dziewczyna! — zdecydował Leski, zlustrowawszy ją szybkim, ukradkowym spojrzeniem, ale po pauzie, uderzony nagłą refleksją, że i określenie nie jest trafne i wrażenie pobieżne, począł jej się z boku przyglądać. Istotnie twarz widziana z profilu okazała się niezwykłą.

Było to nadobne, artystycznie rzeźbione młodzińcze jeszcze, ale odarte ze świeżości oblicze białe, gładkie i zwarte, jak medalion z marmuru.

Wielkie, podługne, rześne oczy z szeroką, niby stale zalęknioną modrą źrenicą patrzyły martwo przed siebie bez szczypty pogody, lub rozmarze-

nia. W kątach ślicznie wyciętych ust jątrzył się wyraz niesmaku, wżgardy i surowego cierpienia. Całość wywierała silne wrażenie zasepionego piękna. Gdy wstała, by zdjąć paczkę, Leski spostrzegł, że jest słuszniejsza, niż mniemał, i wcale nie szczupła, tylko smukła i kształtna, jak posąg.

Zdjęła rękawiczki i zamigotały filigranowe niemal przezrocze, jak u schorzałego dziecka, drobne ręce. Były to jakieś zupełnie sprzeczne z jej wystygłym wyglądem ciepłe, nerwowe, niezmiernie ruchliwe dłonie, które się uwijały szybko około torebki, niby śnieżne skrzydełka strwożonego ptaka. Wreszcie uspokoiły się i legły zlekka drżące obok siebie, jak koncha muszli perłowej, rozłupana na dwoje.

Wpatrzony w nie Leski doznawał dziwnego wzruszenia.

Wydawało mu się, że oto właśnie napotkał ucieleśnioną tkliwość kobiecą, intuicyę delikatnego dotknięcia, dar subtelnej wrażliwości tkwiący w tych pociągłych palcach. Uczuł, że jeśli gdzie, to w takie tylko dłonie można złożyć bezpiecznie wzdrygające się przed każdą szorstkością, z żywej rany stworzone serce. One jedne mogłyby je ująć nietylko bez urazy, ale i wygoić do głębi. W ich miękkim stuleniu, jak w puchowem gnieździe, dałby się ukołysać jego niecierpliwym takt w rytmiczne, powolne bicie, ułagodzić na długi upajający sen.

--- Moje dobre... — zadrgały mu w piersiach

subtelne struny kochania i porwały się szelestem westchnienia pieśzcotliwe wyrazy.

A one, jakby przecuciem tknięte, pierzchły płochliwie z kolan i pochowały się w rękawiczki.

Za chwilę wypadła Mentona, pociąg przystanął. Nieznajoma, skinąwszy według zwyczaju cudowną głową, zgrabnie zeskoczyła z wagonu, a na jej miejsce zawałił się rozlany Niemiec z grubym cygarem w rozdętych wargach i wkrótce zabił jego odorem fiołkowy zapach, jedyny nikły ślad, że była istotnie.

Leski, pochrzając, kłął hakatystę i jednocześnie niechętnem spojrzeniem fiksował ponure, czarno-brunatne skały, zwiastujące bliskość Monte-Carlo. W szarym znroku, jakby w idącym od nich cieniu, utonął mu nagle dobry humor, zgasła słoneczna pogoda.

Był to jednak stan przejściowy; gdy wysiadł, orzeźwił się znacznie, a wyrzucony windą na górę, dał się oszołomić odrazu panującym tam zbytciem, ruchem pełnym blasku, werwy i wesołej swobody.

Z początku, niby chłop na odpuszcie, gapił się niezgrabnie i dziwował. Przystawał na widok eskimoskich strojów mężczyzn i pań spowitych w brązowe woale, istne grupy czupiradeł, pędzących w tumanach kurzu z kwakiem benzyny i dygotaniem potwornych samochodów. Z nabożeństwem, jak przed cudownym obrazem, usuwał się z daleka z drogi snującym się kobietom,

oczarowany przepychem ich lekkich, przejrzystych tualet, powabem kształtów, które pozwalał sobie podziwiać ledwie krótkim muśnięciem oka, nie śmiać znieważać majestatu tak wspaniałego piękna.

Wkrótce jednak począł się oryentować wyraźniej — zalecał go, jakby myszka wina, specyficzny, podniecający zmysły, wyziew tego musującego życia, zlekka zgniły, jak zapach przekwitłego bukietu; aromat wykwintnej rozpusty. Niby się gorsząc, a jednocześnie upajając atmosferą, prędko nasiąkł mikrobami zepsucia, dostosowując się bezwiednie i stopniowo do ogólnego nastroju.

Poprawiwszy zawadyacko kapelusz, muskając wąsika i nie bez wdzięku wywijając dereniową laską, jał krążyć, jak ćma, wokoło płonących na każdym kroku pokus. Intrygowały go szczególnie kobiety. Z całego wzięcia się, ruchów i stroju przekonywał się coraz dobitniej, że większość składa się z kokot, ale tak szykownych, urodzinych i nieraz wprost uroczych, że chciało im się powiedzieć: — Idźcie i grzeszcie jak najwięcej! — a jeśli cisnąć kamieniem, to drogocennym i oprawnym w złoto. Leskiego na takie było nie stać, co rozumiał i czego z łatwością domyślały się one.

To też uśmiechy i wymowne spojrzenia, jakie wysyłał i odbierał nawzajem, miały szczególny sympatyczny powab, jakby bezinteresownej za-

bawy, swobodnych ćwiczeń na świeżem powietrzu, niewinnej walki, w której się strzela ślepymi ładunkami, i to nadawało całej grze pewien porciągający czar, podobny do tchnienia lekkiej, swawolnej, ale melodyjnej muzyki.

Leski jak gdyby podśpiewywał figlarnemi oczyma: — Łaskocze mnie szelest twoich wdzięcznie uniesionych spódniczek; w rytm twych drobnych nówek kołysze się krew we mnie, ślicznie ci w tym kapeluszu... przez koronki biustu widać nie więcej, niż potrzeba, a tego dość, by oszaleć.

One odpowiadały uśmiechem: — *Mille grâces*, jesteś wcale do rzeczy, młody i zgrabny chłopaku, szkoda tylko, żeś goły! A teraz nasze żniwa! Żniwa, więc pardon, cóż robić — trzeba dybać na szkatuły poważnych staruszków.

I Leski, niejako przyznając im słuszność, nie obrażał się i z dobrą miną szedł dalej.

Raptem stanął: w perspektywie alei ujrzał oddalającą się postać. Sposób uniesienia po ażurową pończoszkę olśniewająco białej sukni, zalotne rzutne stąpanie wysokich pantofelków, jaskrawy z wywiniętem rondem kapelusz i płynące w powietrzu boa z piór sygnalizowały z daleka, co zacz jest ta niewiasta.

Piękna linia jej ciała, kształt kibici i ciężki węzeł kasztanowatych włosów, złocących się w słońcu — wydały się Leskiemu nietylko czemś znajomem, ale i blizkiem.

Zniknęła na skřęcie i wówczas dopiero mi-

gnęło krótkie, gwałtowne jak błyskawica przypomnienie znajomej z wagonu.

Domysł ten nieprawdopodobny, a jednak przeżywający, Leski wyrwał z siebie natychmiast, jak zatrutą strzałę i z całym zamachem precz odrzucił; ale ten wysiłek wyczerpał w мгнieniu oka cały zasób werwy i radości życia, skuliło się w nim wszystko, przycupnął na ławce i zastygł.

Po chwili zupełnego zapomnienia się, nagły wstręt do siebie i zjadliwa wzgarda lunęła nań z góry, jak wiadro pomyj. Wzdrygnął się z obrzydzenia. Wszystko naraz przybrało w jego oczach barwę szat zgniłych i strupieszenia; nawet plamy słońca, padające na żwir przez liście, wydały się światłem zbutwiałym, jak roztarte próchno. Napotkawszy mętnemi oczyma figurę szatana, wdzięczącą się z wysokości prostokątnego gmachu, uczuł moment zabobonnej trwogi, który wnet wyszydził gburowato.

— Nic demonicznego w tem niema! — splunął przez zęby — zwykle łajdaczenie się bogatego próżniactwa! Chodź, bydlaku — rzekł prawie głośno do siebie — zajrzyj i ty do koryta!

Wstał i powlókł się do kasyna, podżegając po drodze z dziwną satysfakcją zamiar wygrania pokaźnej sumy, by się nurzać po uszy w tem błocie. Czynił to na przekor jakiemuś wyczuwanemu w sobie pączkowi sentymentu, w który, jak w tutkę nierozwitego liścia, zlewały się niedostrzegalne rosy smutku w dużą kroplę łzy. Gdy

się jednak znalazł w tak zwanej »jaskini«, cały animusz i rozjątrzona zawziętość rozbicia banku, jak lotny dym, rozeszły się bez śladu w tej przestronnej sali, która o tej porze dnia sprawiała wrażenie chłodu i opuszczenia. Wielkie okienne witryny były zasłonięte storami, a tu i owdzie przyćmione czerwonymi abażurami lampy nie były w stanie pokonać rozpostartego w niej zmierzchu. W mdłym okręgu każdego z tych rozwieszonych świateł majaczyła skupiona gromadka ludzi prawie nieruchomych i milczących. W natężonej ciszy tulały się, jak nikle echa, gardłowe wzywania krupierów i trwał nieprzerwalny, martwy brzęk przesuwanych pieniędzy. Leski z zeszywniałem w sobie pytaniem: — poco ja tu włazłem? — długo się błąkał między stołami, aż wreszcie, znalazłszy dogodniejszą lukę w potrójnym szeregu graczy, usiadł w niej, by się przyjrzeć, jak się to odbywa.

Stół był podwójny, pokratkowany z obu stron w odpowiedni sposób, pośrodku kręciła się powoli, wielkości talerza, ruleta, na której obwód zręcznym ruchem dwu palców senny krupier puszczał w przeciwną stronę szybko toczącą się białą kulkę.

— *Faites votre jeu, messieurs!* — zachęcał kilkakrotnie. — *Rien ne va plus!* — wołał po chwili, stół w momencie zaścięłał się srebrną i złotą monetą, potem ktoś wygłaszał jakieś słowa — grabki zgarniały stos pieniędzy, walący się z cięż-

kim brzękiem w kasetkę. Tu i owdzie migające ręce rozdrapywały w lot wypłacone stawki i po krótkiej przerwie cała procedura powtarzała się na nowo.

Spokojnie, miarowo i monotennie szła osławiona gra: w twarzach uczestników nie dostrzegano się również nic szczególnego. Były to przeważnie znużone napięciem uwagi maski, śledzące wlepionymi gałkami oczu rączy bieg kuli. Na niektórych tylko twarzach, w górnej części policzka spalała się centka wypieku, gdzieniegdzie w zaszkłonych tęczówkach tlił się drobnymi wybuchami chciwy i drapieżny płomyczek, jak żar pod skorupą popiołu. Początek każdego nowego turu wprawiał w pośpieszny ruch dziesiątki białych dłoni, które fruwały nad stoły, jakby samodzielne członki oderwane od sterczących kadłubów. W tylnych szeregach zwracały uwagę śmieśnie wyciągnięte z kołnierzyków grdyki ruchem usilnego zadzierania, wielu coś notowało na małych kartkach.

Całość widoku była do tego stopnia jednostajna, nużąca i jakby usystematyzowana, że Leskiemu przypominała się widziana niegdyś hala fabryczna z warsztatami pilnej i dokładnej mechanicznej pracy. Znudzony, od niechcenia wy dobył przeznaczone czterdzieści franków i, w myśl rady otrzymanej w hotelu, stawiał po dziesięć na »manque« i pierwszy tuzin. Pierwszą wygraną przyjął z podziwem, druga go podnieciła, przy

trzeciej, jakby chwycony niewidzialnym trybem, szarpnął się naprzód i przywarł mocno do stołu. Kilka kolejek opuścił oszołomiony mnóstwem kombinacji, które trysnęły i zakołowały mu w mózgu. Pierwsza go zawiodła. Bezsensowna refleksya, że gdyby postawił wręcz przeciwnie na »noir« i zdublował w dodatku, wygrałby niechybnie, napęliła go niezwykłą otuchą, wydobył nowego ludwika i odegrał się; miał tego dnia wenę, gdyż stawiał z godzinę bez straty.

Obliczywszy rezultaty, ochłonął znacznie i wreszcie zrozumiał, że, operując tak małą sumką, przy grze ostrożnej, obłowić się niepodobna. Chcąc wyzyskać szanse, postanowił ryzykować. Jakoż wygrał na szóstkę, przegrał na numer, wygrał na »quatre«, miał już sześćset franków, które z kolei stopniały do pierwotnych czterdziestu. Zły, spocony, z obolałemi od stania nogami w chwili ostatecznego zniechęcenia gniewnie rzucił oba »ludwiki« na chybił trafił. Potoczyły się daleko na przeciwległy kraniec w dwie sąsiednie kratki, jeden na siedm, drugi na czerwoną kreskę, dzielącą numery.

Co wypadło, niedosłyszał, zauważył tylko, że zaborcze grabki omijają jego monety, co go zaczęło przyprawiać o zatajanie się tchu w pierśiach i płochliwe gorące muskania po całym ciele. — Jeżeli z górą tysiąc franków — szumiało mu w uszach. — Tak, 1.080... Uporał się wreszcie z tabliczką mnożenia i realny rezultat, pękaty,

krągły słupek z 54 ludwików, wyjechał w jego oczach i zatrzymał się na szczęśliwym miejscu.

Leski wyciągnął się, jak długi, by sięgnąć, — gdy nagle znajoma, drobna, filigranowa, drgająca dłoń nakryła pieniądze; rozsypały się krążki, pośpieszyła na pomoc druga, bliźniaczo do pierwszej podobna, równie tkliwa i śliczna, i w czułym ich stuleniu znikła garstka złota...

Leski skamieniał, serce w nim stanęło, myśli zeszywniały, krew stężała, stwardniały na lód ręce i nogi.

Dozorujący porządku krupier obrzucił ich oboje podejrzliwym spojrzeniem, ale Leski tego nie widział: znikło mu wszystko z oczu, oprócz jej strojnej postaci i cudownego oblicza, skroś które, jak wichrem gnane obłoki, przedzierały się zmienne wzruszenia i załęknienie, prośba, uśmiech żaloszny, bezczelny poryw zuchwalstwa, złośliwe migotania w źrenicach i nagła, jak piorun, ślizgająca się szybko w dół od czoła ku cierpko ściągniętym ustom, tragiczna zmarszczka boleści, wążka, jak ostrza cierpienia.

Odwróciła się, wiotka, wspaniała, wmieszała się w tłum. Na jej miejscu wyrósł tużurek i gra poszła dalej zwyczajnym trybem.

— *Rien ne va plus!* — posłyszał Leski. — *Rien ne va plus!* — dźwięczało, gdy mijał stoły. — *Rien ne va plus!* — ugodziło go przy wyjściu, wżarło się do mózgu i, jak mechaniczny świder, wierceło skronie.

Gdzieś przysiadł. Słabo pękały mu w pierśsiach wystrzały z poblizkiego *tir aux pigeons*. Krążyła z gwarem rozbawiona publiczność, warczały samochody, dreptały kobiety, rozgłośnie rżnęła, buchająca w jasne powietrze, dęta muzyka.

On siedział w umarłej, ciemnej czeluści zupełnie samotny, jakąś władzą z tego wszystkiego wyodrębniony, niby deskami ze wszystkich stron zabity.

Raptem drobny szelest, cichy, coraz bliżej i trwoźniej szumiący, przeraził go do głębi; zerwał się i z chłodnemi ciarkami w ciele stanął bez oddechu.

O dwa kroki zatrzymała się ona...

— Panie — zaczęła po francusku — ja wiem *que je suis cochon, mais que faire?*... — i dowiedział się, że przybyła z Paryża, że nie rozumie dlaczego, ale straciła powodzenie w tym sezonie, męczą ją za długi w hotelu, a nikt się poważny nie trafia. — *Oh, notre métier est souvent dur, monsieur* — wymówiła z trudem, jakby przewieszając myślami ciężar minionych kolei.

Leski milczał.

— *Vous me comprenez? Vous parlez français?* — dopytywała się po pauzie.

— Tak!

— *Voyons!* — i nagle zalotny uśmiech rozwidnił zasnute hazardowym mrokiem źrenice — *tu le voudras bien* — zaczęła, przechodząc na ty —

możemy, na mój koszt naturalnie, spędzić rozkosznie wieczór i słodko noc — *je connais l'art d'aimer, et tu me plais, mon petit, mio caro!* z dziecinnem przymileniem i ujmująco powtórzyła po włosku.

Leskiemu coś boleśnie rozciągnęło się w sercu, popękało na drzazgi i zakurzyło się oparem krwawej, wątlej mgły. Osłabł tak, że nie mógł wydzwignąć żadnego wyrazu.

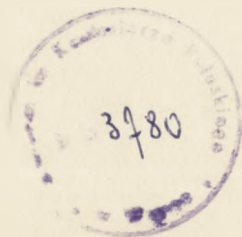
Nalegany — *Rien ne va plus!* — wyrzucił chętną się w pustej czaszce słowa i zwiesił bezwładnie głowę.

Długa, sycząca w uszach minuta milczenia. Głębokie westchnienie — i raz jeszcze mocno zmienionym głosem wyszeptane ponownie wyznanie:

— *Je suis cochon, je le sais bien, mais que faire?! On doit tout de même vivre, monsieur!*

Potem ostry skrzyp żwiru w gwałtownym zawrocie i powolne furczenie, jedwabny, przeciągły szelest, oddalający się posuwicie w szeroki świat na zawsze, jak tęskny, smutny szmer odtrąconej fali, która gdzieś w niewiadomy bezmiar spodem morza odchodzi, by zginąć w otchłani na wieki!

POLICZEK



W cukierni na rogu Żórawiej i Marszałkowskiej zbieraliśmy się codzień między godziną 6-tą a 8-mą, by pogadać o niczem i sztuce, z którą znajdowaliśmy się wszyscy w mniej lub więcej prawym stosunku. Najbardziej podejrzanym pod tym względem był najstarszy z nas pan Tomasz, który niegdyś coś popełniał w nieistniejącem już piśmie.

Obecnie nietylko nie pisał, ale nawet, w naszym gronie przynajmniej, nie odzywał się prawie zupełnie, i stale milczał o rozmaitych rzeczach lub, o ile znalazł amatora, przegrywał w szachy.

Dziś partnera nie miał, wszyscy bowiem byliśmy mocno poruszeni strasznym pojedynkiem, który się świeżo odbył z wielkim rozlewem wina.

Z konkretnego faktu rozmowa zesłała na spór o racjonalność tego rodzaju rozpraw. Zdania się ważyły. Ogólnie jednak zgadzano się, iż są pewne wyjątkowe położenia bez wyjścia, w których jedynym środkiem obrony honoru jest wystąpienie z marnym i słabo nabitym pistoletem.

Jedynie złośliwy malarz na przekor dowodził, że jest antyduelantem bez zastrzeżeń.

— No, a gdyby ci kto dał w pysk? — argumentował jego kolega.

— Tobym mu oddał z przysypką i kwita!

— Ba! czybyś tylko zawsze potrafił; twój przeciwnik może być znacznie silniejszy...

— Lub słabszy! — wtrącił nagle pan Tomasz, który swoim zwyczajem nie brał udziału w rozmowie.

Odezwania się jego wogóle były ewenementem, a tym razem szczególny, brzmiący czemś dalekiem akcent głosu zastanowił nas więcej, niż zwykle.

W pauzie ciszy mizerny nowelista, zwietrzywszy temat, zapytał:

— Zaciekawia mnie pan doprawdy; jestem pewny, że pogląd pański urobił się pod wpływem rzeczywistego zdarzenia.

— Istotnie! i właściwie nie powinienem zabierać głosu w tym przedmiocie, gdyż znieważony czynnie nie reagowałem zupełnie. Policzek zdążył przyschnąć; dwadzieścia pięć lat, ćwierć wieku to chyba dla przedawnienia wystarcza.

— Tylko nie w tych sprawach — szepnęła zgryźliwy poeta.

Ale pan Tomasz, zajęty obcinaniem cygara, nie dosłyszał uwagi. Zapalił i począł opowiadać:

— Ach! i ja niegdyś byłem Farysem!... i znarowiony pegaz wyrzucił mnie z uniwersytetu,

dzięki czemu, oraz protekcyi zmuszony byłem przyjąć w zakładzie hydropatycznym posadę, która okazała się wyśmienitą pod każdym względem. Miałem oddzielny pokój, całodzienne bardzo przyzwoite utrzymanie, 30 rubli miesięcznie, a nawet tytuł inspektora łaźni. W zakres moich obowiązków wchodziło kontrolowanie, czy kąpielowi i chorzy wykonywają ściśle przepisy lekarzy, czy temperatura wody, procent soli lub borowiny wytrzymują przepisaną normę. Jakkolwiek stanowisko moje w hierarchii inteligentnego personelu było dość podrzędne, jako relegowany student i trochę literat cieszyłem się względami władzy, posiadałem sympatyę kuracuszów, zaufanie i łaski kuracyszek. Przytem, mając popołudnie wolne, brałem żywy udział w reuniach, majówkach, wycieczkach i bawiłem się znakomicie, korzystając z każdej sposobności, których nie brakło.

Najszykowniejszy w kraju zakład, w bardzo malowniczej miejscowości, posiadający wszelkie udogodnienia i ustaloną renomę hydropatyj, gdzie nie tylko panuje woda, ale i wesołość, ściągając na główny sezon dużo próżniaczej publiczności ze sfer zamożniejszych, dla których pobeltanie się w wannach było przeważnie tylko miłym dodatkiem do innych rozrywek. To też w lecie rozległy park zmieniał się na śliczny, umajony zieleńią potężnych drzew, gwarny salon, gdzie zwierciadło zastępował staw, posadzkę — strzyżone ga-

zony, dywany — pachnące kobierce kwiatów, a rolę plafonu grało opięte muślinami lotnych obłoków sklepienie nieba z promiennem słońcem w dzień, ze świetnym fajerwerkiem barw na zachodzie w godzinach liliowego zmierzchu, z brylantowym żyrandolem drgających gwiazd i złotym lampionem księżycy w nocy.

W tak czarownej atmosferze roztopiała się sztywność konwenansu; słodki powiew od pól roznosił wokół zasadniczy pierwiastek wszelkiej zabawy — swobodę, a nerw społecznego towarzyskiego życia, flirt, wibrował ustawicznie.

Ten chochlik, swawolny żart namiętności, figlował na spacerach, czepiał się łódek, fruwał w grzywach wierzchowców i w fałdach amazoнок, płaśał na reunionach, słowem pełno go było wszędzie, zakradał się nawet do łazienek. Rozigrany w dzień, pod wieczór rozmarzał się i wzdychał ujmująco w cienistych alejach, na ławeczkach, w altanach. W nocy za to nieraz rzewnie płakał, tuląc się do kolan smutnej i tkliwej bogini prawdziwej miłości, której wyznawał swoje psoty powszednie.

Nie poprawiał się jednak. Rano na pierwszy odgłos zakładowej orkiestry zrywał się zalotnie uśmiechnięty i broił na nowo.

Przy podniecających dźwiękach brząkań, tego blaznu uczucia, trzy letnie miesiące minęły szybko, rozkosznie, zawrotnie, jak szalony *tour*

walca, przetańczony pierś w pierś ze zwinną i uroczą danserką.

Zaledwie jęły się rumienić palczaste liście wina, oplatającego werandy, posypały się pierwsze płatki blado-żółte ze zwisłych żałośnie brzoź, zrudziała zielen trawników, rozsunęły się pierwsze nici pajęcze i zmętniało niebo — lotne, bogato i jaskrawo upierzone ptactwo pierzchnęło przed widmem jesieni, pozostawiając jedynie rzeczywistość schorzałych niedobitków, których postękiwanie przedtem ginęło w ogólnym wesołym szczebiocie.

Salon letni opustoszał i, jak niezamieszkanym gmach, począł się chylić do ruiny, szarzały i warzyły się po nocach klomby, rozpadały się na proszek kielichy kwiatów. Pordzewiały korony drzew, plamiąc się ognistą purpurą, zwiędłym bronzem, zaśniedziałem złotem. Długimi korytarzami alei świstał ponuro wiatr i miotały się w podskokach stada liści, niby okrwawione wyszarpane skrzydła, rwące się do lotu.

Jednocześnie z powodu zníženia cen w zakładzie, wraz z mgłami, szarugą i melancholią jesieni poczęli ścierać z różnych zakątków świata zupełnie odmiennego typu goście. Kuracyusze ci przywozili z sobą nędzne walizki, lekkie sakiewki, lecz ciężkie zastarzałe cierpienia, mało humoru — dużo trosk.

W początkach listopada park już szerniał zupełnie i stał się jak gdyby cmentarzyskiem,

gdzie nad kurhanami zgorzałych liści, niby nad mogiłą dzieci swojego lata, pełnego marzeń i szumnej chwały, powyginane tragicznie szkielety drzew załamywały wyschłe z rozpaczyny sękatę rękę.

W tej porze właśnie zawitał do nas pan Marcin Łopato, którego odrazu i trafnie przezwano Wielbłądem. Istotnie — długa jego obwisła twarz, z rzadkimi siwiejącymi bokobrodami, kołyszący się chód, mocno zgarbione plecy, tabaczkowe ubranie i szczególnie jakiś wyraz cichej rezygnacji i zapracowanego smutku w rysach oblicza, w spłowiałych wypukłych oczach i całej postawie — dziwnie przypominały to wytrwale, łagodne, juczne stworzenie. Niezgrabny, śmieszny i mało obyty w towarzystwie, w trakcie kuracji zbliżył się do mnie. Musiałem uchodzić w jego oczach za bardzo wpływową w zakładzie figurę, gdyż od pierwszego dnia obdarzał mnie oznakami wysokiego szacunku, a potem zaufania. Zwierzył mi się, że jest nadetatowym urzędnikiem przy wydziale hipotecznym jednego z miast gubernialnych, gdzie od wielu lat pełni funkcję kopisty i uchodzi za unikat w swoim zawodzie; na dowód pokazał mi kilka akt, godnych prawdziwego podziwu.

Pismo jego sprawiało wrażenie znakomitej litografii, a każda litera, kreska, kropka, były wyczelowane artystycznie. Treść za to tych papierów była czemś do tego stopnia nudnem, mar-

twem i jednostajnem, że pomyślałem sobie: Jeśli jego ręka posiada choć źdźbło duszy, to zachowała poprostu na pismowstręt i doświadcza »skurczu pisarskiego« z obrzydzenia na samą myśl powrotu do tak monotonnej, pozbawionej wszelkiego powabu, jałowej pracy. Jeżeli się zaś oddawał temu z zamiłowaniem — to się trzęsieże zdeferanowaną ohydą rozkoszy. Okazało się jednak, że była to pozbawiona wszelkich ambicyi i pretensyi, najzwyczajniejsza dłoń najmity, żadna jedynie chleba dla siebie i swoich. Wielbłąd nie chępił się wcale swoim kunsztem, cenił go jedynie, jako narzędzie zarobku, i przyznawał, że wolałby pisać gorzej a szybciej, ale inaczej, niż wolno i ładnie, nie umiał. Przez parę pierwszych tygodni Wielbłąd był w ustawicznym stanie zachwycenia. Numer, meble, wanny, stół, na który inni nieraz sarkali, słowem wszystko wydawało mu się ostatnim wyrazem komfortu, a ta szczupła doza troskliwości, jaką najobojętniejszy lekarz i łaźniennik musi wkładać przy spełnianiu swoich obowiązków, rozrzewniała go, jak najczulsza pieśczoła.

— Drogo, ale jak w raju; żyć i nie umierać! — mawiał mi codziennie.

Jako pacjent był wzorem systematyczności i posłuszeństwa. Z mechaniczną dokładnością wykonywał najdrobniejsze przepisy, nie opuścił nigdy żadnego zabiegu, pilnując czasu i temperatury wody, jak oka w głowie.

Gdy posłyszał »już!«, wyskakiwał z wanny jednym susem, jakby się obawiał, że moment dłużej może zniweczyć zbawienne skutki kuracji. Biorąc usiadki, gdzie chory może śledzić czas, pożyczał ode mnie chronometru i wlepił wylupiające oczy w cyferblat, zrywając się w oznaczonej sekundzie, jak szydłem ukluty.

— Trzeba, panie, trzeba — mówił z radosnym uśmiechem, gdym żartował z tej pedanteryi — sporo to kosztuje, a przytem gdyby... nie! musi pomódz! Niezawodnie pomoże — dodawał z wiarą, patrząc na mnie badawczo. — Z biegiem czasu jednak począł wątpić i wyraźnie się martwił: stał się milczący, zamyślony i z jeszcze większą dokładnością i niemal furją oddawał się kuracji.

Mieszkaliśmy na jednym korytarzu, obok. Pisząc po nocach, miałem sposobność zauważyć, że memu sąsiadowi, który przedtem sypiał, jak na obstalunek, określoną regulaminem normę godzin od 10-ej do 7-ej, sen gorzej służy. Słyszałem, że kręci się na łóżku, aż dzwonią sprężyny, i jak miech wzdycha.

Któregoś dnia, widząc, jak ze zwieszoną głową w łazienkach oczekuje kolei, napadłem go wesóło:

— Co się pan smucisz u licha, przecież wszystko idzie znakomicie. Doktor mi mówił, że nerwobóle w brzuszku minęły.

— Mnie nie brzuch potrzebny, ale ręka! — odparł posępnie.

— Przyjdzie chwila i na rączkę; pan-byś chciał wszystko piorunem.

— Przyjdzie?... pan powiada przyjdzie? — podchwycił żywo, patrząc na mnie z niepokojem i wdzięcznością. — No, proszę pamiętać, bo ja tu nie mogę wiecznie popasać! Żona i czworo dzieci!... to nie żarty. A teraz nietylko nie zarabiam, lecz com uciulał, tracę.

Ale obiecany czas nie nadchodził.

Wielbłąd z dnia na dzień upadał na duchu. Garb mu urósł, zmizerniał, stracił swój świetny apetyt; prowadził kurację pilnie, ale już bez dawnego zapału; włożył do wody leniwie, wyskakiwał mniej żwawo; unikał ludzi, nie rozmawiał nawet ze mną.

Za to cienkość przepierzenia pozwoliła mi się dowiedzieć, że mamrocze do siebie. Zwykle zaczynało się od rachunków. — Ośmnaście dni po 3 ruble równa się 54. Staś, Zuzia, Marynia, ach, i wpis Józia 50. Komorne 32... Nie, dłużej niepodobna; niema co... — Potem ciężkie wzdychanie i głuche: — Boże mój, co to będzie, mój Boże, zlituj się nade mną!...

Pauza ciszy.

I raptem: »Ojcze nasz, któryś jest... chleba naszego...« namiętne, żarliwe słowa pacierza.

Wreszcie pewnej nocy zbudził mnie gruby, gorzki, stłumiony serdeczny płacz.

Nazajutrz Wielbłąd wyglądał, jak kijami obity. A wieczorem, złapawszy mnie na korytarzu,

przycisnął przerażonemi oczyma do kąta i, pokazując papier, począł zdyszczanym szeptem powtarzać:

— Patrz pan, patrz pan tylko, co się dzieje... przeczytaj!...

Na kartce widniały jakieś zygzakowate kulasy i wielki kleks na końcu.

— Próbowałem pisać — wyjąkał złamany.

— Bo niepotrzebnie pan próbujesz, denerwując sam siebie, nie jesz, gadasz po nocach. Przedewszystkiem spokój, spokój i jeszcze raz spokój — odparłem, by coś powiedzieć.

Wielbłąd popatrzał na mnie żałośnie.

— Może i racya, doktor to samo twierdzi — wymówił w zamyśleniu i cicho, spokorniał i odszedł.

Pozostawało mu jeszcze 15 dni kuracyi.

Przez pierwszy tydzień Wielbłąd przechadzał się ostrożnie, prawie na palcach: przeżuwał najsumienniej i cierpliwie każdą potrawę, usiłował się nawet uśmiechać; w łóżku ani się poruszył, tak, że ledwie po lekkim wstrzymywanem chrząkaniu poznawałem, że nie śpi.

W niedzielę jednak o północy, kiedym rył w największym rozpędzie, zgubiłem świetne porównanie, tknięty nagłym, krótkim wybuchem spazmatycznego łkania. Po chwili i sprawca tego wandalizmu wpadł do mnie, jak obłąkany. W jednej koszuli, ze śmiesznie cienkimi, poro-

słemi jasnym włosem nogami, belkotał szlochającym głosem:

— Panie, co to jest, ja zapalki zapalić nie mogę... nie trafiam w pudełko.

— Traf pan w dzwonek, lub zawołaj lokaja — odparłem zirytowany, że mi przerwał natchnienie.

Wielbłąd chlipnął nieznacznie, odwrócił się prędko i wyniósł swój garb.

Żał mi go się zrobiło; chciałem iść za nim, ale w numerze zapanowała długa, niezmacona cisza.

Właśnie kończyłem strofkę, kiedy we drzwi zakołatało dyskretne pukanie. Potem nieśmiało wsunął się smutny Wielbłąd w brązowym surducie, z potulną miną skruszonego winowajcy.

— Przepraszam — dygnawszy, zaczął bąkać obwisłymi wargami.

— Ależ owszem! — usprawiedliwiałem się pośpiesznie — mnie samemu przykro, że mi zbył pana. Zły byłem, bo mi pan przerwał pisanie.

— Pan pisze? — wymówił Wielbłąd z podziwem, i twarz mu się wydłużyła. — Widzi pan, pan pisze! — powtórzył. — A ja...

Wlepił rozżalone wypukłe oczy w czarne sznurki wierszy i przez chwilę pochłaniał moje bazgranie chciwie.

— Żeby choć tak, uszłoby od biedy! — westchnął.

— Nie trzeba nigdy do ostatka tracić nadziei! — wyrzekłem w formie pociechy.

— Właśnie, ja o tem sam myślałem — zaczął podniecony — i jeżeli pan inspektor się zgodzi, wszystko może być jeszcze dobrze... Bo uważa pan — przysunął się do mnie i mówił trwożnie i tajemniczo — co to jest za leczenie? Dzień w dzień jedno i to samo, a po południu żadnych środków, a ja przecież za całą dobę płacę, a co gorsza czas napróżno się tracił... Żeby to tak pan inspektor — prosił, obejmując mnie żalasnemi oczyma — pozwolił na dodatkowe zabiegi... Niech oni rano robią swoje, a my po obiedzie swoje...

— Panie — przerwałem surowo, zrozumiałwszy o co chodzi. — Przedewszystkiem byłoby to nadużycie z mojej strony, ja tu jestem właśnie od tego, żeby pilnować, by ściśle wypełniano polecenia lekarzy... To akurat to samo, jakbym ja pana namawiał do sfalszowania kopii.

— O, przepraszam — odparł poważnie i z pewnością dozą urazy Wielbłąd — kopii absolutnie sfalszować niepodobna, bo przecież zawsze potem następuje z aktem konfrontacya... Przytem kopia to jest dokument... A to co? wody panu szkoda?... ubędzie.

Panie inspektorze, na rany Chrystusa, przysięgam — zaczął gwałtownie poszarpanym ze wzruszenia głosem — ja, żona, wszystkie moje dzieci, których Bóg wysłucha, będziem się modlić codziennie za pana. Niech pan nas nie gubi — schylił się, chcąc mnie pocałować w rękę.

Wyrwałem ją pośpiesznie.

— Cóż znowu!... no dobrze, zobaczymy... — obiecywałem, by przerwać tę dręczącą scenę.

Wielbłąd, kiwając dziękczynnie głową i obrzucając mię błagalnemi spojrzeniami, wycofał się za próg.

Nazajutrz wybadałem dyplomatycznie lekarza.

— Co do ręki, to mocno wątpię, aleśmy mu przynajmniej wyporzadzili żołądek! — objaśnił mnie młody doktorek.

Wobec tego oświadczenia skrupuły moje pękły. Postanowiłem dotrzymać obietnicy. Bojąc się, by mnie kto ze służby nie zdradził, udawałem, że się sam kąpię, a Wielbłąd mi towarzyszy. I zaczęły się różne eksperymenty.

— Ja myślę — dodał Wielbłąd — że tu trzeba obniżać temperaturę, bo wiadomo przecie, że w cieple wszystko się rozłązi, a w zimnie tężeje, a właśnie chodzi o to, żeby łapa zesztyniała... A teraz weźmiemy cię, duszko, jak w łubki — mówił — oblepiając z satysfakcją rękę borowiną.

Co do mnie, oczywiście zapatrywałem się sceptycznie na tego rodzaju środki, ale trochę liczyłem na wpływ sugestyi.

Jakoż istotnie po trzech dniach tego leczenia Wielbłąd, zoczywszy mnie w parku, przykłusował niezgrabnym kurs-galopkiem, wołając z daleka:

— Panie, zapiąłem prawą ręką majtki, ot ten guziczek, jak Boga szczerze kocham... Taki ma-

lutki, a ja go szach, mach... i siedzi w pętelce — opowiadał, jaśniejąc radością. — Zapiąłbym i drugi, gdyby był — pokazał mi szczątki okruszonej blaszki.

— A tobyśmy — chichotał, podrygując koło mnie komicznie — doktorkom szpasa wycięli! Zaraz do wszystkich pism wykaligrafuję ogłoszenia, jak się leczy *tremens!*

Ucieszyłem się również. — Kto wie — myślałem — a nuż! — i byłem nieco wzruszony, gdy po ostatnim zabiegu w wilię wyjazdu przystąpiliśmy do wykonania próby nad skutecznością kuracyi.

Z kabiny przeszliśmy wprost do kancelaryi łazienek. Wydobyłem arkusz, podłożyłem rygi i zmieniłem stalówkę.

Spojrzałem ukradkiem na Wielbłąda. Był uroczysty i blady.

— Tylko spokojnie, spokojnie — wszystko pójdzie dobrze — dodawałem sobie i jemu otuchy.

Wielbłąd usiadł w fotelu, poprawił na ukos papier, przysunął się do stołu, przycisnął lewą ręką arkusz i odchrząknął.

Widząc ogólny wygląd jego twarzy i postaci, byłem prawie pewny, że tak znakomicie przystosowany, poprostu nastawiony całym ciałem do pisania mechanizm zawieść nie może.

Ujął pióro, trafił odrazu w kałamarz, zgarbił się nad papierem... i rozpoczęło się bezlitośne, okrutne dziobanie to tu, to owdzie stalówką, robienie fatalnych dziur, kleksów. Wreszcie w gwał-

townem drgnięciu palców obsadka wyleciała, jak z procy, w powietrze.

Wielbłąd na krótki moment zwisnął bezwładnie w fotelu, potem się schwycił za skronie i jęknął z rozpaczą:

— Jak ja się jej i dzieciom pokażę!... Jak ja im się pokażę!...

Zerwał się raptownie i stał się straszny. Oczy mu wyłaziły z orbit i zabiegły krwią, a rozwalone wargi przeistaczały jego łagodną twarz w pasczękę wściekłości.

— Łotry, szarlatany, oszuści, złodzieje!... — zaryczał dziko.

I ledwie się zjeżył, by stanąć w obronie godności instytucji, wyciął mi chorą ręką zdrowy policzek.

Krew mi ściekła do nóg, które stężały, jak kłody. Zdrętwiałem i stałem, jak słup, bez jednej myśli, prawie bez czucia.

Jak przez mgłę, zobaczyłem skurczoną boleśnie jego twarz, postyszałem gdzieś za drzwiami histeryczne łkanie.

Kiedy? nie wiem, może w parę sekund, może w godzinę odruchowo skoczyłem za nim, ale już nie było nikogo. Zwalilem się na ławkę, jak zmiażdżony. Twarz mi płonęła gorejącym ogniem. Nie przypominam sobie, w jaki sposób znalazłem się w numerze na łóżku. Ciemno już było, kiedy we mnie poruszyło się gwałtowne rozjątrzenie i żądza pomszczenia doznanej obelgi. Tysięczne

krwiożercze zamiary rozlatywały mi się po głowie: pastwić się, kości mu połamać, wyrwać z mięsem kudły, strzelać się o trzy kroki, ciągnąć czarne gałki! O żadnych przeprosinach nie mogło być mowy, chyba, gdyby mi padł placikiem do nóg publicznie i pozwolił kopać się obcasami w zęby...

Dygotałem z rozdrażnienia i nienawiści.

Ostatecznie wyczerpany osłabłem, ogarnął mnie ponury smutek, zdziczenie samotne, a potem uczucie niezwykłego rozgoryczenia. Wówczas jęły mi dopiero wpadać w ucho odgłosy jego kroków. W pierwszej chwili rozjuszony poczuciem jego obecności, począłem pienieć się na nowo.

A on tymczasem chodził i chodził tam i napowrót. Musiał być w pantoflach lub boso, bo kroki nie wydawały łoskotu. Słysząc było tylko ciężkie, miarowe dudnienie miękkich stóp. Te łączące, przytłumiające stąpania stały mi się jak sukno na wzburzoną duszę; fale gniewu i oburzenia splaszczwały się powoli; bolesne natężenie nerwów zelżało. Zmęczony, jakby zachodzony cierpliwością tych monotonnych, niezmordowanych, bezowocnych ruchów, usnąłem. Zbudziłem się późno, z obelżywą świadomością doznanej zniewagi i krzywdy, która widocznie podczas snu tkwiła ciągle we mnie.

Ubierając się, wpatrywałem się bezmyślnie przez szyby po których ciurkiem ściekała woda,

w zgniły, obrzydliwy dzień, mętny od kaszowego śniegu, który topniał w locie, i włóczących się tumanów mgły.

Po klejkowatej, lśniącej drodze przeciągnęła bryczka.

On wyjeżdża. Wzdrygnąłem się cały. Dokończyłem z pośpiechem tualety i zbiegłem pędem na dół.

— Powiem mu głośno wobec służby, że jest głupi Wielbłąd, nikczemne bydło, które, gdy je człowiek spoufali, narowi się i wierzga! — myślałem, zaciskając zęby.

Wyszedłem na ganek.

Lokaj rzucał właśnie do kozła związaną sznurkiem walizkę niedbałym, lekceważącym ruchem fagasa, który wie, że nie dostanie na piwo. Furman znajdował się około koni.

Wielbłąd był już na bryczce.

Odrazu przypomniała mu się widziana niedgdyś na wozie zdychająca szkapa. Tak samo miała obwisłą dolną wargę, bezładnie rozłożone przednie nogi, jak jego omdlałe, rozkrzyżowane na oparciach ręce.

Z pod lichego, wyrudziałego palta wystawał garb pleców, oczy były wpół przymknięte. Śnieg lepił się do baków, strumień wody sączył się z ronda zmiętego kapelusza za kołnierz, a on siedział nieruchomy, obojętny, jakby w najjaśniejszą pogodę.

— Powiem mu poprostu, że jest gbur — złągodziłem zamiar.

— Wystarczy niewdzięcznik! — postanowiłem, zbliżając się ku niemu.

Ale za ledwie dotknąłem jego ręki, przygotowane słowo wyrzutu zwinęło mi się w gardle, jak płachta obmokła, i, waląc się chwilę w piersi, opadło wilgotne na serce.

Trwożnie, nieśmiało i jakby winowajczo uściśnąłem jego chorą dłoń, jakbym go za coś przeproszał.

Wielbłąd dzwignął powieki.

Utkwił we mnie tępe, duże, śmiertelnie smutne oczy. Jakby się nieco spłoszył i jęły szkłem zachodzić spłowiałe źrenice, zaiskrzyły łzy w wypukłych białkach i jęły grube, ziarniste toczyć się po workowatych policzkach.

Drgnęły kilkakroć szczęki, poruszyły się wielkie, obwisłe usta, mamląc jakiś wyraz...

Furman machnął batem. Ostro ruszyły spasionie, zakładowe konie.

Rudy kapelusz i pałakowate plecy rozplynęły się szybko w szarudze, zawiei i mgłach posępnego dnia.

Pan Tomasz umilkł; pociągnął mocno cygaro i zachmurzył twarz kłębamii dymu.

— Co się z nim stało, nie wiem... Nie spotykałem go więcej — dodał zmienionym głosem z poza sinawego obłoku.

Wstał nagle, »płacić!« zawołał, rzucił na stół należność i wyszedł prędko z cukierni.

LUŽNE KARTKI

Wpadłem z kretesem w ten młyn dyabelski i kręcę się, jak wiewiórka w klatce, otrzymując chwilami wrażenie szalonego pędu.

Zdarzają się dni absolutnego braku czasu. Człowiek jest niby, Bóg wie jak, zajęty... pracowitem próżniactwem, które męczy i wyczerpuje gorzej, niż najcięższy wysilek.

Latanie, wiatrak w języku, rozpraszenie się na wszystkie strony, miliony drobnych, poszarpanych, ruchliwszych niż obrazy kinematografu wrażeń — oto życie z dnia na dzień jałowe, rozbite na momenty, na atomy, na »kółka« papierosowego dymu.

Robić się nie chce! Zaledwie kiedy niekiedy w bezsennej godzinie popelniam jakiś fragment, lakoniczny artykuł, ciętą krytyczną uwagę, *maximum* trzysta wierszy miesięcznie.

Szczupły dorobek! Jedynie te notatki prowadzę dość systematycznie, ale jakże inaczej, niż dawniej!

W Klonowie były to długie, serdeczne zwierzenia, istna spowiedź z rachunkiem sumienia,

po którym następował dotkliwy żal, a często i poprawa. Dziś są to prawie migawkowe zdjęcia, chwytające jedynie kontury zjawisk, uczuć i zdarzeń, utrwalone na prędcie, bez retuszu, raczej z nałogu, niż z potrzeby ducha. Poprostu strzepy.

Dzięki im mogę sobie powtarzać, że prawie *nulla dies sine linea*, i zagadywać w ten sposób wewnętrzne wyrzuty o marnowaniu czasu.

Wykręt! ale skuteczny. Niestety!

Prawdziwie niestety! Bo jednak trafiają się minuty, w których wyczuwam w sobie krążący wir skłębionych chaotycznie tematów i pomysłów, zdaje się, świetnych w dodatku. Wszystko to czeka tylko chwili stosownej (tu — sęk właśnie), by się wyłonić i wcielić...

Oho! Wrocki paraduje! zacznij mi zaraz zerkać przez ramię, wietrzyć, a co najważniejsza — radzić. Pęcherz dziennikarski, gruchoczący w potrzebie rymami.

Nie lubimy się, choć uchodzimy za przyjaciół i jesteśmy na ty. Stuka — więc — pauza... i do szuflady.

* * *

Prawdziwa niespodzianka: Żosicki - laureat, druga nagroda — trzysta fajgli, nie w kij dmuchał! *Notabene* powieść ma być wcale niezła. Zobaczymy! Tymczasem sto rubelków, jak lodu, puścił z nami w jeden wieczór. To się chwali!

Zaczęło się pod »Światelkami«, dalszy ciąg u Gablera. Na razie czułem się nieswojo: ten piramidalny małpizjon próbował imponować zdobytym wawrzynem, na dobitkę znać było, że cie-szy go nie powodzenie dzieła, ale własnej osoby! Tego już zupełnie nie rozumiem! Trzeba być chyba szewcem ostatniego gatunku, nie artystą!

W epilogu, przy winie, zniwelowały się wszelkie różnice hierarchiczne i przekonaniowe i za-panował rozczulający, na poły łzawy, na poły bohaterski nastrój. Potem pojechaliśmy tam i wróciłem późno.

Było koło szóstej. Dawno nie widziałem o tej porze Warszawy. W puste korytarze ulic wsą-aczał się mizerny, zamglony dzień. Wszystko, co rości jakąkolwiek pretensyę do inteligencyi, spało jeszcze. Trotuarami ciągnęło tylko bydło fabryczne. Dążyły grupkami licho odziane postacie z blaszankami w ręku i zagasłe spojrzeniem — bezmyślne automaty, dopasowane do maszyn.

Posępne głosy syren wzywały ich do pośpiechu, huczząc wstrząsającym jękiem, podobnym do wycia i zgrzytania nienażartej paszczy wietrzącego zdobycz potworu. Gdzieś, jak grzmot daleki, toczyły się wozy ładowne z ciężkim, miarowym tartasem, od którego brzęczały witryny. W huku tym znać było krwawe, mozolne tętno natężonej pracy.

Głupio jest przy takim akompaniamencie wracać z birbantki. Przebrzydły *kacenjamer* staje się

czemś ostrem i bolesnem. Szklanka kawy wydaje się czarną otchłanią, siedliskiem ciemnych upiórów; cytryna ma smak kwasu siarczanego i tylko woda sodowa jako tako działa, a najlepiej czemprędzej powtórzyć bibę i w koniaku utopić zgryzotę.

* * *

Brawo! Twórczość była: dwie noce z rzędu przy biurku i obie owocne. Wiersz — mocny w koncepcyi, kunsztowny w formie, napisany z niezwykłym polotem. Jakkolwiek mocno pokiereshowany przez cenzurę w druku, zrobił wrażenie. Zemler nawet raczył się wyrazić: — Czytałem z satysfakcją! — a to u niego dużo.

Następnie zaszczycił mnie dłuższą pogadanką o zadaniach krytyki; poglądy jego w tej materii są istotnie ciekawe.

Dowodzi mianowicie, że w krytyce wcale nie chodzi o ocenę wartości dzieła.

— Obiektywnie — mówił — jest to niemożliwe dla braku odpowiednich przyrządów! Subiektywne zaś sądy, jakkolwiek się opowiada o stałości skali naszego »ja«, są tak zależne od nastroju chwili, zbiegu okoliczności, że trudno coś na nich fundować. My, fachowcy, — przyznawał się — w zawodzie naszym zatracamy w dodatku dziewczą wrażliwość. Prędko wkraczamy w stan, w którym niepodobna już oddać się dziełu bezpośrednio duszą i sercem, jak zwykły śmiertel-

nik, ale odbieramy wrażenia za pomocą skomplikowanego aparatu doktryn, przyjętych poglądów, utrwalonych uprzedzeń. Ani rusz nie możemy wykrzyknąć z prostotą: »Ach, jakie to piękne!« lub: »Co za skandal!«. Entuzjazm, gwizdanie, frenetyczne brawa — to rzecz niezblazowanej publiczności. Robotę taksatorską rzetelnie wykonywa czas, więc przyszłości powierzmy tę czynność!

Większość kolegów moich zgadza się ze mną w tym względzie, ale mają za to pasyę sprowadzać do wspólnych mianowników; oczywiście, dzieje się przy tem grube naciąganie, bo prawdziwe dzieła sztuki są zwykle absolutnie nie wspólne i rozsadzają szuflady.

Ja staram się jak najmniej pisać o książce, a za to wypowiadać się z talentem *à propos* dzieła, chociażby w formie subtelnego aforyzmu, lub zjadliwego konceptu.

Wtedy krytyk staje się twórcą; jest to wprawdzie twórczość wtórna, coś w rodzaju muzycznych waryacyi na pewien temat, ale zawsze twórczość, a więc posiada trwalszą wartość.

— Wy, zdaje mi się, pisujecie także sprawozdania — zagadnął mnie raptem.

— Tak! — odparłem nieco zawstydzony.

Spostrzegł to i rzekł:

— Cholernie niewdzięczne zadanie: opowiadać treść »swoimi słowami«, jak w sztubie; wytykać jako błędy zwroty, których jeszcze niema

w gramatyce... To się robi często dla grosza, a zawsze wtedy, gdy się chce być gwałtem literatem, nie mając żadnych kwalifikacji po temu!...

W rezultacie streścił się w pożyczce »przy sposobności«, jak się wyraził, dziesięciu rubli — »do jutra«.

Ta ostatnia okoliczność zachwiała we mnie wiarę w szczerłość jego wynurzeń.

Zdolny niewątpliwie, ale na wielu punktach skończony rzezimieszek. Sam nie odda, a upominać się trudno i niebezpiecznie w dodatku; mógłby mnie schlastać, zarznąć, posypać solą i pieprzem i połknąć, jak nieszczęsnego Laskowicza, który dotychczas wije się z powodu tej bezlitosnej, a pozornie trafnej krytyki. Oskalpował go tak, że nieprędko zapuści czuprynę.



Przenieśliśmy się do nowej cukierni, gdzie mamy zarezerwowany oddzielny pokój między szóstą a dziewiątą.

Zły jestem, bo trochę daleko, choć niewątpliwie wygodnie. Na razie miałem nawet zamiar (postanowień z doświadczenia unikam) przestać chodzić, ale nie wytrzymałem.

Znałogowałem się poprostu do tych posiedzeń, które w gruncie rzeczy nie są zajmujące, a tem mniej pożyteczne. Swoją drogą łązi się i gada przeważnie o niczem.

Stosunkowo jest najzabawniej, gdy się kto z kim pokłóci. Wówczas bardziej dotknięty zakłada na przeciwległym rogu secesyę i wszelkimi sposobami jedna zwolenników. Neutralni, do których zwykle należą, bywają tu i tam, starając się pogodzić zwaśnionych. Jakoż, po pewnych ceregielach i obustronnym warunku omijania nadal drażliwej kwestyi, następuje uroczystość pojednania i znów jesteśmy w komplecie. W »knajpie« rej wodzi Rudzki, jakoby filozof, tak go przynajmniej tytułują wszyscy, choć, zdaje mi się, jest to ranga czysto honorowa, którą otrzymał w braku innej.

Jest to człowiek istotnie imponujący: wygląda, jak lew; gdy mówi, ściany dygocą, a gdzieś daleko rozbrzmiewa huczne echo, niby gwar wzburzonego potoku. Oponować mu niepodobna, gdyż z punktu ogłusza przeciwnika. Był niegdyś bogaty, włóczył się po całej Europie, gdzie stracił wszystko, a nabył wielkopańskich manier i pewności siebie, która mu dopisuje stale. Zna języki, jest niewątpliwie inteligentny, odcytany i mógłby prawdopodobnie pisywać z powodzeniem, ale nie chce z zasady.

— Ja przyrzekłem sobie — grzmi, nagabywany w tym względzie — że nic absolutnie robić nie będę i basta!

Jakoż dotrzymuje słowa. Obywa się byle czem; prowadzi żywot ascetyczny; o ile mu wpadnie w ręce większa kwota, zwrócona przez dawnych

przyjaciół - dłużników, przepuszcza ją z nami natychmiast i znów komenderuje garsonowi: »Szklanę wody« i »Figaro« — ale w sposób tak wyniosły, jakby obstalowywał co najmniej kosz szampana.

Lubimy go wszyscy i podziwiamy za wiecznie dobry humor, zamaszystą fantazyę i murowane zdrowie, którego mu zazdroścę, zwłaszcza teraz, kiedy się coś popsulo w państwie Duńskiem.

Sypiać nie mogę, to jest właściwie usnąć, poczem popadam w jakiś kamienny letarg, który nie tylko nie pokrzepia, ale nuży.

Nie wstaję, lecz dźwigam się z łóżka z ołowianą głową, niezdolny do niczego, jakby zacza-działy. Prostuję się dopiero pod wieczór, a w nocy zaczynają się dzikie harce rozegzaltowanej myśli, żywiołowa, niepowstrzymana gra wyobraźni, pożar w mózgu.

Muszę się chyba poradzić.

W zeszłym tygodniu byłem na »Złotym Rogu«, a dusza jeszcze się kołysze melodyą tej sztuki.

Tak potężnego wrażenia nie doznałem dawno, a chyba nigdy w teatrze.

Nie było to przedstawienie, ale jakieś czarodziejstwo, hipnotyzowanie widza do zupełnego obezwładnienia refleksyi, zapamiętania się w zachwycie.

Z początku przypatrywałem się uważnie, potem pochłaniałem, wreszcie zostałem pochłonięty ze szczętem i zdawało mi się, że ta scena, ci ludzie, upajający rytm ich słów, są wytworem mych własnych marzeń.

Gdy spadła kurtyna, siedziałem chwilę, jak we śnie, goniąc duszą ulatujące widma.

Trzeba było jednak wstać i wyjść w głupi zgiełk ulicy, który mnie bił, jak pałą, po głowie.

Krytyka sygnalizuje niezwykle powodzenie, zachowując się oględnie wobec nieopatentowanej firmy. Publiczność entuzjazymuje się i gada, gada, gada.

Ale cóż z tego? Nic właśnie!

To, co poruszone w piersi mogłoby się rozrosnąć w milczeniu i wstrząsnąć do głębi, ugrzęźnie w zaspach frazesu.

W naszej knajpie zwłaszcza wrzało, jak w ulu.

»Rozbierano« w ścisłym słowa tego znaczeniu sztukę i lubowano się kolejno jej wdziękami w sposób obrzydliwy.

Nie było w tem ani krzty uwielbienia, namiętnego porywu uniesienia, który pragnie ovladnąć i sam się całkowicie oddaje, lecz, jakby lubieżność, rozkoszowanie się każdym poszczególnym dreszczykiem, wyrafinowana rozpusta zużytych starców, których coś wreszcie zdołało podniecić.

Kurczyłem się z odrazy i nagle wybuchnąłem mimowoli:

— Co tu długo gadać, zbląźniłiśmy się i kwita,

bo właściwie po opuszczeniu teatru należało się rzucić i spełnić jakiś bohaterski czyn!...

— A wiecie — po pauzie zdziwienia odezwał się pierwszy Zemler — taką pointą możnaby wcale efektownie zakończyć sprawozdanie. Pozwolicie skorzystać?

— Wiadomo, że w Henryku siedzi stary, patetyczny romantyk — wtrącił pobłaźliwie Wrocki — podszyty w dodatku...

— Wiem, co chcesz powiedzieć — przerwałem silnie podrażniony — nie fatyguj się, rozumiem dobrze znaczenie tych epitetów: »pierwszy« to coś pośredniczącego między »naiwny« a »głupi«, a »społecznik« to już dureń skończony; znam przecież najnowszą encyklopedyę! Nie obrażam się jednak — ciągnąłem, siląc się na spokój — bo ty mi to mówisz, ty, który nie pojmujesz zupełnie tego dramatu...

— W sztuce tej — mówiłem zdyszany — bije właśnie echo z tamtych uroczych, romantycznych stron, w głosie złotego rogu słyhać metaliczne, brązowe wieszczby tych słonecznych dzwonów, zaśniedziałych, lecz tylko w twem sercu, temat, jeżeli etykietę przyczepić się godzi, jest prawie społeczny.

Poeta wmyślał się, wrósł cierpieniem w życie narodu i postawił przed nami, jak złowieszcze widmo, plastyczną wizję momentu jego dziejów: Zbutwienie domniemanych szczytów, które, jak skały zwietrzałe, sypią się w gruzy i w proch

niemocy, ciemne, ślepe szarpanie w dołach, cały ten zamęt tragiczny, ziejący grozą zagłady. Każdy tam ujrzał siebie, każdemu otwarła się jego mogiła, cuchnąca posępnym tchnieniem śmierci. Róg szyderczo podzwaniał w nasze trąbki blaszane, aż wyrzucił własny, posępny, przerażający nawet zwierzęta, złoty ton, jasny piorun na nasze głowy, grzmiący policzek prosto w twarz.

Rudzki śmiał się *fortissimo*, jakby kto rzucał kule na bęben.

Coś mnie poderwało.

— Panu się łatwo śmiać tak głośno, boś pan pusty zupełnie i stąd rezon i rezonans — wyrzuciłem resztkami głosu, wstrzymując spazmatycznym kurczem woli napływający zewsząd potok gorących łez.

Zrobiła się chwila ciężka i natężona, w której poczułem się odosobniony zupełnie.

Ścięło się we mnie odrazu wszystko i suchem, hardem spojrzeniem fiksowałem Rudzkiego.

W zmienionej jego, jakby skamieniałej twarzy uśmiechały się w dalszym ciągu wesoło rozbawione oczy.

— Histe-ry-ja! — poskandował, bębniąc takt palcami, wstał i po chwili wywołał przez garsona Zemlera.

— On was wyzwie — szepnął mi trwoźnie Laskowicz.

— I owszem — odparłem z udaną swobodą i opuściłem cukiernię, biegnąc prawie klusem do

domu, gdzie dałem spłynąć niezrozumiałym, niosącym smutne ukojenie, obfitym łzom.

Potem mnie wciągnęła milcząca otchłań zadumy i stężała w sen.

O pierwszej, kiedym myślał właśnie, że niema wcale tej »siły fatalnej, któraby mogła zjadaczy chleba w aniołów przerabiać«, Zemler i niejaki pan Szocki, do przesady ugrzeczniony, ale mocno sztywny jegomość, zjawili się w imieniu Rudzkiego z żądaniem satysfakcyi.

Miałem pewien kłopot z wyszukaniem sekundantów.

Wiedząc, że mam do czynienia z tak szczwanym lisem, jak Zemler, nie mniej kutym Rudzkiem, że Szocki w dodatku jest specjalistą od spraw tego rodzaju, bałem się bardzo, by mnie nie wystrychnięto na dudka.

Pomijając więc najbliższych kawiarnianych kolegów, którzy co moment wpadali z wyraźną ochotą oddania mi przysługi, udałem się do staroego dorpatczyka, adwokata Kosicza.

Przyjął mnie bardzo życzliwie i, wysłuchawszy sprawy, wyraził nadzieję, że wszystko niewątpliwie załagodzi się pokojowo.

Na drugiego świadka wprost gwałtem narzucił mi się Wrocki.

Gruboskórne bydlę! Wie przecież, jak go niecierpię.

No, ale trudno — stało się.

Dziwna rzecz, żem się dopiero teraz spo-

strzegł, jak jestem, pomimo licznych stosunków, samotny!

Tyłu znajomych, kolegów, przyjaciół od pióra, od knajpy, od spódniczki, ale ani jednego od serca!

* * *

Miałem dobre przeczucie. Chcieli mnie zabrać najwyraźniej. Przed chwilą był Kosicz i gdy mi pobieżnie, łagodząc niewątpliwie słowa, zakomunikował tekst cyrografu, przy którym się upierają, z oburzenia ledwie się zdobył na wykrzyknik: — Co?

— Oczywiście! — potwierdził Kosicz — to też powiedziałem im bez ogródki, że żądania ich są niemożliwe do przyjęcia; po południu mamy się zebrać powtórnie. Widząc, że sprawa się komplikuje, chciałbym pana prosić o wyznaczenie granicy ustępstw...

— Dziękuję! — przerwałem mu żywo — i oświadczam, że wobec takiego postawienia kwestyi o żadnych przeprosinach z mojej strony nie może być mowy.

— Cóż? Więc pojedynek?

— Chociażby, ale poważny: nie chciałbym, by zakrawał na szopkę...

— Błahy powód! błahy powód! — powtarzał zafrasowany Kosicz — ale trudno, kiedy wyraźnie przypierają do muru. Może to strachy na la-

chy, a w takich razach istotnie dobrze robi zażyć na ostro, choć można się i zawieść.

— W każdym wypadku jestem i będę panu wdzięczny! — odezwałem się, ściskając go mocno za rękę.

— A masz pan przynajmniej pojęcie o strzelaniu?...

— I owszem, za czasów uczniowskich polowałem dużo, miałem też okres pistoletomanii i doszedłem do względnej wprawy, od kilku lat jednak nie miałem broni w ręku!...

— Fechtunku — ani dudę?

— Bijaliśmy się ongi domorośłym sposobem w palcaty...

— Domorośłym! to na nic! No, jakoś to będzie — uśmiechnął się sympatycznie i wyszedł.

Pod wieczór zjawił się Wrocki z miną uroczą i tajemniczą.

— *Alea jacta est!* — wyrzekł sentencyjnie i, gładząc rękoma cylinder, przyglądał mi się pilnie.

Dla zamaskowania rozjątrzenia, które zadrgało mi pod pierściami, począłem pogwizdywać, wybierając takt nogą...

— Jutro o 6-tej zajedziemy po ciebie — recytował Wrocki — meta 15 kroków; po komendzie: raz! w ciągu czterech sekund strzał wolny; pistolety gwintowane z muszkami i wizyerami — ostatni wyraz wymówił niepewnie i wlepił we mnie oczy. Zrozumiałem, że węższy mój strach.

— Z dwoma wizyerami, czy z jednym? — brałem go na fundusz, domyśliwszy się, że się absolutnie nie zna na tych puszkarskich terminach.

— No, z wizyerami — powtórzył — zresztą Kosicz ma protokół.

— Jeżeli tylko z dwoma, to głupstwo! — drwiłem, siląc się na obojętność.

— Zapewne — choć Rudzki podobno kapitalnie strzela! trafia w asa! — dodał z ubolewaniem.

— Całe szczęście, że nie jestem żadnym asem!

— Dowcipnie! ale zawsze... Wierz mi, że robiłem, co mogłem — to ten waryat Kosicz!...

— Niepotrzebnieś się fatygował; chodziłeś przecie nie w obronie mojego życia, lecz honoru! A Kosicz jest dżentelmen, nie żadna fujara. Zresztą prosiłem go o takie warunki.

Wrocki, zbity z tropu, umilkł na chwilę; poczem, spostrzegłszy się, że nastąpiła zmiana ról i zamiast, by on igrał ze mną, ja się z nim droczę — zjeżył się i rzekł sucho:

— Winszuję ci zimnej krwi i życzę jej na placu!

— Zapewne w myśl tego życzenia napomknąłeś niechcący o rzekomym kunszcie strzeleckim Rudzkiego — wtrąciłem złośliwie.

Wrocki zmieszał się i jakby się zmartwił naprawdę.

— Henryku — zaczął z innego tonu — być

może, że popełniłem niezręczność, sądziłem jednak, że w takim stosunku, jak nasz...

— To jest w jakim? — osadziłem go.

— Chciałbym powiedzieć szczerym i przyjacielskim, ale widzę ze zdziwieniem, że coś się nagle zepsuło między nami. Nie poznaję cię.

— Ale ja ciebie za to — wybuchnąłem — doskonale! Zawsze ten sam! Przyszedłeś napawać się moją obawą, popatrzeć, jak mi dzwonią zęby i drżą mankiety; zachciało się upolować na gruncie mojej duszy trochę wzruszeń — gratka nielada!

Popsuło się? Nic a nic! Żeśmy się po pijanemu lizali i pili bruderschaft, to nie znaczy jeszcze, bym na trzeźwo nie dostrzegł tej antypatii, która nas stale roztrąca...

— Antypatii? Ja do ciebie?! — cedził Wrocki — z jakiej racji, za co?...

— Za co? Niecierpię cię za to właśnie, za co się brzydzę sam sobą: za fałsz, za skoszlawioną wrażliwość, za metodyczne świadome kłamstwo; za roztrwoniony płomień duszy w bładze literackiej!... Gdybym jutro zginął, byłbyś w stanie wyczelować z tego powodu rzewne wspomnienie, bo w tobie już się wszystko transponuje na wiersze. Masz cerę, jak bibuła, farbę drukarską w żyłach, zatruliłeś się ołowiem czcionek i tym jadowitym wyziewem zaraziłeś mnie... Jak koloraturowej śpiewaczce drga w gardle tryl, tak nam się ciągle skręca język we frazes. Wielkie słowa

belają się w zbutwiałej piersi. Zanurzeni po szyję w gnojowisku, możemy z bezczelną swobodą deklamować hymny do słońca. Myszkuje po ranach ludzkich, po najdyskretniejszych zakątkach zboląłego serca, by wylupać stamtąd pomysł do nowelki!... Tybyś dla sensacyi na dwie szpalty spalił Warszawę, nowożytny Neronie, kurьерkowy Cezarze! Kochankę-byś zarznął za nowy ton, brata rozpruł dla świeżego porównania... Po hulaszczej nocy w tingel-tangu, przy biurku stajesz się święty i ronisz na temat rozpusty atramentowe lzy, wstrętne, jak kleksy!... Ciebie zdaleka czuć czernidłem; patrz! włosy ci się jeżą, jak istne stalówki; uważaj, bo się rozlecisz: jesteś cały pocięty na paski, szpalty; za dziesięć kopiejek od wiersza wnet się rozwijas z niczego, jak papierowy wąż w ręku magika!...

Urwałem z braku tchu.

Wrocki stał blady i osłupiały; kąty ust krzywiły się w wyraz cierpki i prawie bolesny.

— Widzę — wyrzekł z trudem — że, pomimo pozorów męstwa, upiór jutra odbiera ci zmysły!

To nikczemne posądzenie podziało, jak okład z lodu; w jednej chwili odzyskałem panowanie nad sobą i, pragnąc go zwieść, bąkałem ze świetnie zrobioną skruchą:

— Mylisz się, u podstawy mego uniesienia leży co innego: zazdrość mnie pożera — rozumiesz? *Jalousie du métier* — nędzne uczucie!... Zawadzasz mi, zaćmiewasz wszechstronnym talen-

tem, na każdym polu zastaję ciebie, jako groźnego rywala...

Wrocki przyglądał mi się podejrzliwie.

Spuściłem skromnie oczy, jak najwprawniej-szy kabotyn, uśmiechając się smutno.

I co to jest próżność: twarz Wrockiego zła-godniała.

— W każdym razie... — zaczął.

— Jest to stan nad wyraz przykry: wleż w moją skórę, a zrozumiesz katusze stałego rozdrażnienia.

— Ha, trudno! — uśmiechał się błogo — nic dla ciebie pod tym względem uczynić nie mogę; licytujmy się owszem, ale *in plus*...

— Wolalbym *in minus* — sztychłem, wzdychając melancholijnie.

— A ja wolę zamknąć dyskusję. Pamiętaj, że jutro musisz być spokojny; możemy kiedyś pogadać na chłodno o tym drażliwym temacie, a teraz idź spać!...

Zawahał się i podał mi rękę, którą uścisnąłem odruchowo.

Kiedym ochłonął, doznałem wrażenia ulgi, jakoby załatwił zadawniony, ciężki rachunek. W rezultacie zbesztalem w nim siebie i to mi sprawiło rodzaj satysfakcji. Widmo pojedynku nie zawadzało mi nic a nic. Rozumiałem dokładnie, że warunki są ostre, ale przypuszczenie, iż mogę zginąć, przedstawiało mi się niby przykład fikcyjny, oderwane wyobrażenie, ślizgające się swobodnie po powierzchni mózgu.

Śmierć, moja własna śmierć wydała mi się czemś tak odległym, trudnym do pojęcia, a zwłaszcza od jednego wystrzału wprost bezsensownem, że myśl o niej łączyła się niemal z wesołym, skłonny do kpin nastrojem, w jaki nas wprawia nieprawdopodobnie zabawna przygoda.

To też nie bałem się wcale; podniecała mnie jedynie nowość sytuacji, w jakiej się miałem znaleźć niebawem; lekko drażniła nerwy stara znajoma trema, targająca mnie zwykle przed każdym publicznym występem. Staralem się uprzytomnić dokładnie, jak się to wszystko odbędzie. Korciło mnie nadzwyczaj drasnąć kulką Rudzkiego, nie przez mściwość lub gniew, który już zwietrzył zupełnie, ale tak sobie, dla próżnego tryumfu, dla puszczenia po mieście miłego echa, że biliśmy się nie dla formy i że ze mną zadziierać niebezpiecznie.— To w każdym razie dobrze robi — pomyślałem radośnie i nadto jaskrawe wyznanie jakby mi rozdarło owrzodzenia duszy.

Splynąłem ohydną posoką, wzdrygając się:

— Na com ja już zeszedł; pochlebny bełkot ulicy mnie łechce; na jakie słupy gotówem się drapać ku uciezce gawiedzi!

Plaski gad ambicyi stoczył godność osobistą ze szczętem.

Zatailem się przed sobą ze wstydu, zdławiony, zalany goryczą.

Zbudził mnie trzask otwieranej bramy.

Późno było. Ze wszystkich stron kamienicy

szkliły się sztywne szyby wygasłych okien jak ślepe oczy. Wokoło zwolnionym, przytłumionym gwarem huczał młyn miasta. W lichym strzępie płachty zbrukanego nieba tliła się nieśmiało nikła gwiazda; koty, orły blaszanych szczytów, darły się dziko.

— Spać czas! no i list na wszelki wypadek warto zostawić — przypomniało mi się z jakiejś powieści i odsunąłem szufladę. — Ale do kogo? — w miękki samotny smutek, jak ptak w swoje pióra, wtuliło mi się zziębłe serce.

W posępnem sam na sam począłem machinalnie przerzucać stare szpargały, cofając się w przeszłość ich śladem.

Mijałem pośpiesznie, niecierpliwie widne brutalne koszary świeżego zgiełku, dążąc z zapartym oddechem w rodzinne zacisze, w tę dal minioną, osnutą słodkim zmierzchem, majaczącą w sinych, pachnących mgłach.

Znalazłem swój gruby dziennik. Z kilku przejrzanych stronic buchnął na mnie zwichrzony, odurzający tuman siedmnastoletnich uczuć i marzeń, gorący, jak płomień, upajający, jak kwiećnik purpurowych róż.

Dalej leżała paczka listów rodziców, jedyne widome dziedzictwo umarłych. Kartki wyżółkłe, jak światło gromnicy, spłowiełe pismo, niby zaschłe lzy; wypieczone nad lampą na papierze półkola na podobieństwo gloriy świętych w zasniędziałych obrazach.

Listy z wioski zapadłej w piaskach, w sosnowym lesie, nad cichą rzeką, z dworku do okien wrosłego w ziemię, z pod którego omszałego dachu wyrażały się na chwałę i wesele, a wracały na śmierć zgarbione niedolą pobite szeregi pokoleń.

Mus — króciutkie słowo — sprzedał na kolki, na parkany, na podpałki te czarne belki, do których przywarło tyle westchnień, żarliwych pacierzy, gorących łez, krwawego potu, klęsk życia, że bez święcenia mogły iść na ołtarz Bogu, na krzyże Męki Pańskiej, na trumnę bohatera.

Chłonałem rdzeniem serca rzewne, proste, bez żadnego stylu związane wyrazy. Usypiały mi w żyłach tętna krwi. Ciche, żałobne marzenia o jakichś gasnących wieczorach miłości, o szumnym przelocie ptaków szczęścia nad głową, ginących w nieprzejrzanym mgle, wyzuły mnie z siły, jak omdlenie, położyły na łóżko.

Czułem, jak mnie kołyszą na sen fale śmiertelnej tęsknoty, melodyjne i smutne, fale bezbrzeżne, niewiadomo skąd i dokąd idące, jak głuche, dalekie granie wiecznie wzruszonego morza.

Bez oporu tonąłem w ich zalewie, jakby wciągany w głąb obcą pieścizotliwą mocą.

Wszystko odbyło się trochę inaczej, niż sobie wyobrażałem, a zwłaszcza nadspodziewanie prędko.

Przeciwników zastaliśmy na placu; po wymianie ukłonów, sekundanci oddalili się na stronę; pocziwy doktor Sijeski, który wmawia we mnie neurastenię, parał się jakąś szkatułką, a ja z Rudzkiem przyglądaliśmy się dawno niewidzianej wieściorce, migającej, niby rudy płomień, między gałęziami potężnego świerku.

Rozmierzono metę na niedużej polanie, poroślej nędzną trawą.

Stanęliśmy.

Szocki wyrecytował suchym głosem zwięzłą, pojednawczą przemowę. Następnie Kosicz wyrzekł kilka zdań w tej samej materji, ale tonem tak serdecznym, że byłbym pewno wyciągnął rękę, gdyby nie zabójcza flegma, z jaką Rudzki przecierał binokle. To mnie rozdrażniło, a figlarne, jakby życzliwe, a zarazem przekorne jego spojrzenie rozjątrzyło mnie do reszty.

Kurczowo ścisnąłem podany pistolet.

— Raz! — podniosłem broń do oka. — Dwa — brzmiała miarowa komenda. — Trzy! — rozległ się stłumiony strzał i dyskretne świśnięcie tuż koło ucha, które mnie zniewoliło pociągnąć za kurek.

Buchnęło i wązka smuga dymu zamroczyła mi oczy na moment.

Kiedym przejrzał, Rudzki, oparty o czerwono-nawy pień sosny, stał na jednej nodze, a drugą podgiętą oglądał poniżej kolana.

Wszyscy czterej sekundanci razem z Lipskim

otoczyli go w jednej chwili: pozostałem samotny w dziwnym rozproszeniu całej istoty.

— Nie marnuj mi tylko doktor spodni — posłyszałem wspaniały głos Rudzkiego, który echo poniosło po lesie.

— A gdzież on! — wyrzało z poza cylindrów jego lwie oblicze. — Stoi zdrów i cały!

— No, no! — potrząsnął głową, jakby z po-dziwem. — Chodźże pan — przewierciłeś mi łydkę, boską łydkę, którą z takim nabożeństwem modelowali paryscy rzeźbiarze. No, daj rękę, wandalu!

Uścisnęliśmy się.

Rudzki, podpierając się, rzec można, wątłą postacią Zemlera, któremu tik nerwowy latał po policzku z niezwykłą szybkością, wpakował się do karety.

Ruszyliśmy się również; w drodze milczący Kosicz rozgadał się na dobre.

— No, panie — odetchnął, ujmując mnie za łokieć — jakby mnie kto na sto koni wsadził! Rana głupstwo, będzie za tydzień wycinał hołubce. Miałem przez was noc niewesołą; bo trzeba panu wiedzieć, że Rudzki niegdyś dyabło strzelał, a przytem dziwny to człowiek, nieobliczalny, po którym można się spodziewać najlepszego i najgorszego. On jest w stanie tak sobie *en passant* zdmuchnąć człowieka, jak świecę, i ani się obejrzeć.

Swoją drogą musisz go pan odwiedzić jak

najprędzej, choćby jutro!... Podaliście sobie rękę, więc znaczy niema urazy.

— Co do mnie — odparłem — to nie czułem jej i przedtem.

— Właśnie tembardziej, szczególnie iż dałbym głowę, że Rudzki parł do pojedynku ot tak sobie. No, ale trafiła kosa na kamień i mogło być nieszczęście. Tak to przez drobiazg, przez brak gwoździa w podkowie, niejeden jeździec kark kręci!... Właściwie za tę dzisiejszą naszą wyprawę należą się nam baty, a mnie, jako najstarszemu, bizun najgrubszy. Bo rozumiem: zdarzają się brutalne potrącenia, nadeptanie jakiegoś tak serdecznego guzika duszy, że następuje gwałtowne rozprężenie całej istoty ludzkiej, przeistoczenie wszystkich władz w bezkształtną, zmieszaną z błotem i śliną, skrwawioną masę czucia, dla którego zmiążdżenie przeciwnika staje się najpilniejszą, niemal organiczną potrzebą, jak wycie dla kopniętego psa. I wówczas pojedynek, choćby amerykański, jest klapą bezpieczeństwa, ujętym w pewien kodeks upustem dla nabrzmiałych krzykiem mściwego bólu instynktów... Można też gwoli opinii publicznej puknąć sobie z daleka... Ale tak ni z tego i z owego — Kosicz skrzywił się i machnął niechętnie ręką.

— Ja tu wysiadam — dodał po pauzie. — Muszę być na dziesiątą w sądzie.

— A ja w redakcyi — odezwał się nakoniec Wrocki,

Rozstaliśmy się. Pozostawiony sam sobie, uczulem straszne znużenie, jak ścięty z nóg, ledwie wygramolił się na schody. Wchodząc do pokoju, wstrząsnąłem się febrycznie, przerażony do głębi. Przyczajony, blady, trupi lęk teraz dopiero wychynał się z kryjówki, stroząc mi włosy na głowie, chwytając zimnem pod kolana.

Trwało to krótko, a potem nastąpiły przewlekłe minuty ciągnącej się, jak klej, obrzydliwej apatyi, podobnej do tych bezmyślnie nudnych gam, które już wybrzękiwały nade mną i pode mną dwa, bez słońca rosnące na stare panny, podlotki przybite, anemiczne, trzecie córki przykutyh do biurka, szarych jak asfalt, urzędników.

Nazajutrz odwiedziłem Rudzkiego. Przywitał mnie z łóżka okrzykiem:

— Witaj, bohaterze! Pakuj się w fotel; mam tu coś dla pana.

— O! — podał mi dziennik poranny — proszę, czytaj pan głośno.

»Wczoraj w pobliżu pól Grochowa odbył się poważny pojedynek pomiędzy znanym w szerszych kołach filozofem i estetą panem E. R. i młodym, lecz utalentowanym literatem panem H. O.; przyczem p. R. otrzymał lekki postrzał w nogę.

Przyczyną orężnej rozprawy była ostra dyskusya z powodu głośnej premiery teatralnej. Oryginalne tło tego zajścia jest, bądź co bądź, faktem charakterystycznym i wysoce znamien-

nym. Oto nagle pojawia się w środowisku naszym gotowość walczenia o sztukę z bronią w rękę. Huk kruszących się lodów wróży wiosnę, bujność, słoneczność, uniesienie! Kto wie, czy ten wystrzał nie jest również taką zapowiedzią pęknięcia zapleśniałej skorupy obojętności społeczeństwa naszego dla spraw artystycznych?

Pragniemy wierzyć, że tak! I z tej racji, choćby to się miało komu nie podobać i ściągnać na nas gromy oburzenia, wtórujemy temu wystrzałowi z całą sympatyą entuzjastycznym, niebosięźnym:

Evviva l'arte!«

— Jezus! Marya! — wyrwało mi się z ust — któż to to pisał?!

— Wrocki — grzmiał Rudzki śmiechem. — Och! — krztusił się — aż mnie bebechy bołą. Wyobraź pan sobie, był wczoraj u mnie. Nudziłem się, opatrunek piekł i przyszedł mi kapitalny koncept zaszcześcić mu powyższą ideę. Przyznam się, że niebardzo liczył na powodzenie.

Aż tu dziś patrzę: jest! owocuje moja płonka w najlepsze... No, no, jakie parę tygodni mamy zapewnione bajeczne wzięcie we wszystkich fajf-okłokach, zwłaszcza pan, jako pogromca. Ja bo nawet nie mogę nosić nic na temblaku, chyba po szkocku z gołemi łydkami?...

Ale, *à propos*, czyś pan kuli mojej nie słyszał zupełnie?

— I owszem, i to bardzo blisko koło ucha!

— No, patrzcie, co to wyjść z wprawy; mierzyłem powyżej brzegu kości policzkowej w przewidywaniu, że jeśli nieco zgóruję, trafię w skroń— a tu gdzie Rzym, gdzie Krym! fatalne pudło!

— Poważne były zamiary — po pauzie zdumienia wyrzekłem, przymuszając się do uśmiechu, który mi się nagle zwarzył w coś szorstkiego. — Nie przypuszczałem, że pan potrafi być tak dalece zawziętym!

— Zawziętym? Przytem dalece? — powtórzył Rudzki. — Pan mnie posądzasz o skarb, o zdolność do mocnych uczuć, gdy mnie tymczasem wszystko ani parzy, ani ziębi. Jestem tylko ciekawy, chciałem poprostu przekonać się, jak wygląda celny strzał do człowieka; przypuszczam, że musi to być coś więcej zajmującego, niż *tir aux pigeons*. Ach, cóż za grymas zgorzenia! Oczywiście sądzisz pan, że istnienie ludzkie, a zwłaszcza pańskie jest czemś znacznie donioślejszem, niż egzystencya gołębia. Trzebaby o to spytać gołębia...

— W danym wypadku interesuje mnie znacznie więcej pańskie — przerwałem sucho.

— Ja na tym punkcie nie mam jasno wyrobionego zdania. Wiem za to dobrze jedno: pomrzemy wszyscy, nie dziś, to jutro! Jest to więc tylko kwestya czasu.

Że zaś w chwili śmierci dziesiątek czy setka lat przeżytych wydaje się mniej niż momentem, bo przeszłość, jako nieistniejąca realnie, jest po-

zbawiona rozciągłości, a obraz jej — perspektywy, nie widzę słusznej racji troszczyć się zbytnio o długowieczność swoją, a tembardziej cudzą!..

— Od kiedyż to, jeśli wolno wiedzieć, przyszedł pan do tych wniosków? — spytałem z przekąsem.

Rudzki popatrzał na mnie filuternie, zlekka przymrużonemi oczyma.

— Nie od chwili strwonienia majątku, zaręczam, choć może panu to się wyda podejrzanem, ale znacznie wcześniej! Nie potrafię, rozumie się, ściśle określić dnia ani godziny; powiem tylko, że skłonność do wyłuskiwania prawd rażących objawiałem od dzieciństwa; była to wrodzona zdolność mej cynicznej, jak mówiono, natury. Ach! przecież pamiętam wybornie, kiedym wreszcie skończył jakoby nauki, mój świętej pamięci rodzic, który, pomimo olbrzymiej fortuny, zrobionej na budowie domów, pracował w dalszym ciągu od świtu do nocy, zapragnął mnie przyprządz do swego kieratu.

Oparłem się temu stanowczo.

— Nie, papo — oświadczyłem — mówiłeś mi tylekroć, że zbijałeś dla mnie majątek, sądzę więc, że ci zrobię jedynie przyjemność, jeżeli spożyję owoc twoich zabiegów, bez troski, swobodnie, jak ptak, który ani sieje, ani orze...

Ojciec mój osłupiał.

— Jakto, trutniu — zaperzył się — więc ty

śmiesz mi cynicznie mówić w oczy, że zmarnujesz to, co zgromadziłem w pocie czoła?

— Dla mnie przecież, papo!

— Ale nie na roztrwonienie; chciałem ci dać podwalinę bytu, gotowy warsztat do pracy, abyś nie potrzebował zaczynać z niczego. Liczyłem, że rozwiniiesz interes i, jak ja tobie, zostawisz swoim następcom świetną firmę.

— Dobrze — mitygowałem oburzonego starca — przypuśćmy, że zastosuję się do twego życzenia i nietknięty, a nawet zwiększony majątek zostawię dzieciom, oczywiście w myśl twych zasad, nie na użycie, lecz jako kapitał, który pomnożony winny przekazać wnukom i tak dalej i tak dalej. Słowem, każde bieżące pokolenie, jak się też w istocie powszechnie dzieje, ma się trudzić, wyrzekać się wielu darów życia dla następnych, te z kolei dla przyszłych i tak w nieskończoność.

Wiecznie pościć, suszyć przy suto zastawionym stole w przewidywaniu jakichś tam zagórskich gości, którzy w dodatku też nie zasiądą do biesiady, oczekując nowych przybyszów, czyż może być większy absurd, bezmyślniejsze marnotrawstwo? Nie! niech każdy ma swoje *conto*. Ja będę żył na własny rachunek, za samego siebie! Nie chcę, nie potrafię i nie rozumiem, jak można umartwiać się i czegokolwiek wyrzekać przez troskliwość o nieistniejących, dalekich, nieznanym mi ludzi!

Uparty starzec obciął mi pensję i zapracował się na śmierć.

Odziedziczywszy wszystko, zawiąłem się po swojemu, prędko, w przeciągu dziesięciu lat puściłem sześćkroć, jak oko.

Używałem, ale nie użyłem. Na każdym kroku przeszkadzało mi widzenie brutalnej prawdy. Co to długo gadać, kiedy nawet miłość, najmocniejsza esencja rozkoszy ludzkiej, nie była w stanie czujności mojej upoić!

Poprzez uroki wzorzystej przędzy, w którą się lubi ten instynkt osnuwać, przeświecał mi zawsze wyraźnie ostateczny cel, istotny rezultat: nieestetyczne, pozbawione wszelkiego wdzięku obcowanie fizyczne! To też nie mogłem być ani rusz poetą w miłości, lecz jedynie doświadczonym maszynistą, świadomym wszystkich sprężyn, trybów, dźwigni tego pociągu, który bez względu na ilość zwodnic, zakrętów i tajemniczych tuneli, wyładowuje się wiecznie na tej samej stacyi ku zawodowi naiwnych pasażerów, puszczających się w tę podróż z torbą złudnych uniesień. Ja zawsze miałem tor oświetlony jaskrawie i widziałem, jak i dokąd jadę. Włókna mego mózgu, jak druciki elektrycznej lampy, żarzą się ustawicznie; powabne twory zmierzchu, mamidła zagadkowej ciemności, są dla mnie dziedziną niedostępną. Mózg mnie przytłacza. Wszystko mi się odbywa w przeraźliwym blasku białego dnia!... To w końcu nuży.

Rudzki umilkł. W źrenicach mu zawibrowały cienkie, metaliczne połyski, niby migotanie igieł. Kątaami ust prześliznął się szybki uśmiezek, ostry i bolesny i znikł, jak lśnienie.

Zesztywniałe na moment rysy twarzy przybrały po chwili zwykły wyraz niedbałej pewności, z którym mówił:

— Apetyt mój okazał się w gruncie rzeczy mizernym. Przekonałem się, że ta energia, która zdaje się tryskać wszystkimi porami mego wielkiego cielska, jest właściwie ledwie werwą, czemś w rodzaju musowania szampana, który z hukiem wyrzuca ale korki tylko, pieni się, szumi, niby przelewa przez brzegi kielicha, aż raptem gaz się ulatnia, piana kurczy, opada i w przepelnionem pozornie naczyniu ledwie coś się bełta na dnie.

To też, gdym stosownie do obietnicy, danej ojcu, wyzuł się z jego dziedzictwa w przyspieszonym z umysłu tempie, z pewną złośliwą satysfakcją wydobyłem z futerału mój »Smit i Weston« i zajrzałem w czarny otworek.

— Oto jest dmuchnięcie, którem cię w jednej chwili mogę zgasić, nieznośna świeco! — przemówiłem do świadomości w nadziei, że zmruży wytrzeszczone ślepie i zmętnieje raz wreszcie.

Tymczasem płomyk jej ani drgnął, przeciwnie wydłużył się, rozdał, jakby czemś podsycony, i zajaśniał przezroczytym ogniem.

— Niech cię piorun trzaśnie! — zakląłem, od-

rzucając rewolwer, i jednocześnie, jak objawienie, olśniła mnie myśl: toż ja, do licha, pobrnałem zupełnie fałszywą drogą! Bez najmniejszego talentu, bez szczypty życiowego natchnienia, podjąłem się tej niedorzecznej komedyi *dell'arte*, która się na widowni świata od wieków rozgrywa, czynnej roli, mając zaledwie kwalifikacye na postawnego figuranta, milczącego statystę, nic więc dziwnego, że zrobiłem fiasco.

— Za to niewątpliwie tkwi we mnie świetny materyał na widza. Stwierdziwszy to, usunąłem się z trupy, ze sceny przesiadłem się do krzesel i patrzę, bawiąc się nieraz wcale nieźle.

Sztuce można wiele zarzucić, jest naprzykład za rozwlekła, ale posiada dużo interesujących momentów, zawile sytuacye i znakomitą obsadę, świetnych aktorów, traktujących swe role zupełnie seryo, rzetelnie, z prawdziwym przejęciem, a nawet z wiarą w jakieś posłannictwo mistyczne.

Widowisko przedewszystkiem urozmaicone. No, choćby ten wasz świat artystyczny, gdzie się dzieje wszystko na pokaz, czyż nie jest efektywnym zespołem arlekinów, żonglerów słowa? Masz pan więc i *panopticum*, *variétés*, szopkę, teatr maryonetek, farsę, żywe obrazy, tragedye, co się komu podoba, przytem bez żadnych antraktów, kurtyna wiecznie otwarta, suflera nie słyhać, a bilet *gratis*. Czegóż chcieć więcej? To też gdyby nie to, że i tu mi trochę bywa za wi-

dno i często z pod szminki dostrzeżony trąd, lub lachman w kostymie razi, mógłbym długo jeszcze...

Rudzki urwał, przeciągnął się leniwie, podnosząc do góry prężące się mocno ręce, i ziewnął potężnie:

— Och, jak się czasem nagle spać zachciewa! Panu sen służy?

— Niebardzo!

— A w dzień możesz zasnąć?

— Nie zawsze!

— Ja zaś na zawołanie, a w tej chwili nawet z ochotą. Całą noc przemyślałem, opatrunek doskwierał!

Zrozumiałem, że audyencya skończona.

Wizyta okazała się w skutkach ciężką. Łatwiej z nim się strzelać, niż obcować sam na sam.

Po tych jego zwierzeniach czuję się tak, jakby mi grzyb rozjadał zrąb duszy.

Głowa mi pęka. Państwo z przeciwka sprowadzili sobie gramofon i kręcą go dzień cały. Doszło do tego, że dostaję dreszczów na sam widok tej mosiężnej trąby z rozdziawionym, błyszczącym wylotem. Mam uszy rozdarte od skrzypiących taktów udanego śpiewu. Reszta piątr za to szaleje z uciechy. Nic dziwnego: zamieszkują je ludzie urodzeni w murach, którym plafon sufitu zastępuje niebo, palniki Auera — gwiazdy, kilka oleandrów pod markizą — las, bruk — murawę, a pieśń żywej piersi — dygotanie me-

chanizmu. Chwilami napastują mnie przypuszczenia, że kiedyś cała treść inteligencji ludzkiej wcieli się w maszyny, a człowiek przekształci się w jakiś przewód pokarmowy, w polip wkręcony w ich tryby, w automat całkowicie zależny od tych stalowych istot, ściśle wyrachowanych, dokładnych, obojętnych, jak lodowiec. Dusza zniknie, stając się jakąś zdolnością szczątkową, a zbyteczne jej wzruszenia będą wywoływały takie wrażenia podziwu i komizmu, jak dziś osoba strzygąca uszami. Czasem majączy mi się, niby we śnie, jak dźwiga się naprzód morderczym pochodem kamienne miasto, miażdżąc rośliny, ptaki i zwierzęta. Ceglaste, jak krew spiekła, mury zagrodzą glob cały. Ziejące dymem straszliwe gardziele kominów oślepią słońce. Centralna stacya elektryczna nerwami drutów rozsiewać będzie głosy i światła. Centralny warsztat siecią rur i szyn będzie dostawiał porcyje odzieży i strawy. Centralny buduar stanie się zakładem antropotechnicznym, przy nim w centralnej hali jeden wielki motor będzie niańczył w gumowych łapach niemowlęta, a w centralnym grobie mechaniczne świdy druciane stoczą ciała umarłych.

W ocembrowanych morzach legnie trupem woda i zdławione wichry pod krzyżami mostów żelaznych. Padną na płask góry zryte prócz jednej, centralnej, skąd potworna pompa będzie ssawkami właczała w studnie kamienic określone dawki powietrza.

A potem wszystko się zleje razem: mury w skałę monolitu, kominy w krater olbrzymi, bogacze we wzdęty jak balon brzuch, urzędnicy w ogólny *sitzfleisch*, ludność robocza w jedną, jak sosna opalona, szerniałą rękę, my, literaci, w olbrzymią szczotkę najeżoną piórami i przyśrubowaną do maszyny rotacyjnej, a Rudzcy wówczas w kopułę lba palną sobie z armaty, bo życie stanie się śmiertelnie jednostajnie i nieciekawie zupełnie. W tym kierunku przynajmniej dąży ewolucya ze swą specjalizacją, żelazną dyscypliną, paragrafami na wszystko i tresowaną w koszarach ludzkością.

Trzeba się jednak, póki czas, choć samemu ratować.

Czuję, że jestem tym trybem życia potrząskany, zasypany do pół duszy jakimiś gruzami, w które się zapadam coraz głębiej, i rozdrażniony do tego stopnia, że pobudliwość moja staje się wprost anormalną. Onegdaj, naprzykład, ledwie nie wytuział łobuza, który mi piszczącą cewkę drewnianą chciał sprzedać jako słowika. Wczoraj, zobaczywszy zdjęty bruk i rozkopaną do gruntu glinę, ledwie się oparł pokusie, by nie paść na nią, jak niegdyś, kiedy w gwałtownym, namiętym porywie rzucałem się piersią w trawę lub na rolę i słyszałem pod sercem, w dalekich głębiach jak gdyby drugie, głuche, dumnie bijące tętno, które rozogniało miłość do tej ziemi i wciągało myśli w mogiły krwawych pogromów i świe-

tnej chwały. Po minutach gorączkowego podniecenia, nieraz nagle, bez widocznego powodu, następują rozwlekłe, upadłe godziny, walące się w przeszłość ciężko i bezdźwięcznie, jak bryły ołowiu. Woskowa wrażliwość tężeje na granit, o który się szczybią rąbania najostrzejszych wrażeń.

Staję się tak zwartym wewnątrznie, że aż mnie boli to jakieś prawie srogie zacięcie się w sobie. Czuję się jak w szczupłej celi więzień okuty na rękach i nogach w pudowe kajdany. Ramy okna wydają mi się kratą, a ten dudniący za niemi, nieprzerwany tartas ulicy czemś bezlitosnem, obrażającym i haniebnem, niby szydercze urągowski rozbestwionej gawiedzi nad płynącą skrycie krwawą łzą wieczystej niedoli.

Budzę się w czas posepny, jakby otruty gorączką, zupełnie samotny, więcej niż na odludnem pustkowiu, na jakichś ciągnących się bokiem świata bezdrożach, któremi błędzą tajemnicze smutki i zagadkowe niepokoje. Przesuwają się, niby jednostajne paciorki różańca z martwym, monotonnym szelestem, zadumane milczenia ciszey. Łka serce. I gdzieś, niby z cmentarnych katakumb wyjęty, zaczyna grać bronzowy dzwon bezdennej tęsknoty, kołysze się, dźwięcząc melancholijnie coraz piękniej, coraz senniej.

W pół oddechu wstrzymuje się tchnienie piersi, krew tętna swe zawiesza i staje się jakby na jawie niepojęty sen.

Z powłóczystego obłoku lotna postać wychyla ku mnie tkliwe, dziewicze oblicze o rysach tak delikatnych, jak rzeźba w eterze. Nie mocą wzroku, ale zachwytem wzruszenia chłonę subtelne piękno widziadła, przeczuwam za ciemną zasłoną długich rzęs cudne, utopione we łzach oczy, odgaduję rzewnym smutkiem strwożonej duszy bolesne wycięcie rozchylonych w żalсны pocałunek ust, śmiertelny wysiłek dźwigających się do uścisku omdlałych rąk.

Trwa moment słodkie zjawisko i rozplywa się w błękicie, jak melodyjny akord w przestrzeni, jak pachnące westchnienie kwiatu.

Znika wszystko. I znowu duszna klatka pokoju w hałaśliwym podwórzu, łoskot i wrzawa wokoło.

Muszę się przenieść, wyjechać, jak najprędzej zmienić mieszkanie, bo stracę zmysły w tym odmiecie.

Prowadziłem przez szereg dni żywot posłańca. Zdeptałem mile chodników, miliony schodów, muszę zelować buty, ale znalazłem prawdziwy skarb, przytem bajecznie tanio: dziesięć rubli z usługą, a zalet tysiące, poczynając od bramy, za którą niema tej przytłaczającej, sklepionej nory, ale odrazu obszerny plac podwórza. W nim tylko jedna podłużna oficyna, piętrowa rudera, stokroć

lepsza, niż studnie; na końcu przyklejona przybudówka: ów mój skarb.

Drewniane, dygocące, odkryte schodki na osłonięty gontowym daszkiem ganeczek, wyłączne własne wejście, otwierane prostym kluczem drzwi, a za niemi przestronna bielona izba ze zwykłą podłogą i dwa weneckie okna, patrzące sześciu szybami prosto w ogród sąsiedniej posesyi.

Granicę stanowią zielone sztachety, po których mogę z pokoju brząkać laską, a gdy się dobrze wychylę, omal nie palcami. Jeden gimnastyczny skok z parapetu, a dałbym nurka w zieloną kępę jaśminów i bzów, które coś z sobą szepczą i trwożą się pękami kwiecica, ilekroć na nie spojrzę.

— Nie bójcie się, nie zamroczę was! Oplećcie się w wieńce niebieskie i białe, w obłok aromatu! — Szemrzą, więc przenoszę wzrok na brzozy, które w świeżo rozwitem listowiu wyglądają jak jasny rozprysk zielonkowego światła, zwisający w powietrzu; za nimi mocna zieleń trawnika, a pośrodku, między kasztanami, plecami do mnie okrakiem na odłamku skały usadowił się nagi amerek, złotym grotem przez ramię mi grozi, a brązowym kołczanem ciska srebrne snopy wody. W głębi lekki włoski pałacyk, jeszcze niezamieszkanym, ale widocznie lada dzień spodziewa się gości, bo go porządkują na gwałt.

Szkoda, bo gracują ślicznie omszałe ścieżki

i z pewnością wysypią ostrym, bolesnym żwirem. Za pałacykiem znów sztachety, pusty plac, szary domek i gdzieś za nim dopiero większe budowle, mam więc widok tak rozległy, że mogę długo staczać oczy po cudnie zgiętej linii nieba, prawie do horyzontu; który musi być gdzieś niedaleko. Nad głową mi nikt nie tupie, za to, gdy przechyliłem się mocniej w fotelu, ujrzałem w całości pierzasty obłok, który skądś zabłąkany przeciągnął cichy i wdzięczny, niby żagiel na wklęsłym jeziorze. W nocy ujmuję całe konstelacje gwiazd, mam nieśmiałą nadzieję posłyszeć słowika, który może się zatulać w tak ustronną dzielnicę.

A wtenczas zaczną się rozkoszne, prawdziwie wiejskie wieczory, czarowne, upajające majowe noce, drgające śpiewem, zapachem i miłością. Choć i teraz jest mi już do tego stopnia dobrze, że wprost ruszać się nie chcę.

Zdaje mi się chwilami, że z promocją wyjechałem na wakacje.

Przypominają mi się żywo te pierwsze dni odurzenia, słodkiej, leniwej kontemplacji, niedbałego wywczasu. Wrażenie potęguje to samo uczucie zagmatwania w mózgu, który rozpedzony egzaminami, zdaje się, jeszcze coś twardego miele, a właściwie tylko jakieś resztki bezkształtnych myśli w kółko obraca.

Od czasu do czasu chwytam machinalnie pióro i wodzę po tym papierze, nie zdając jasno sprawy,

jakie z liter składają się słowa, nie troszcząc się o budowę zdań; może gdzie nawet zbraknie podmiotu, lub orzeczenia, to i cóż? W każdym razie muszą one pozostawać w jakimś związku z obecnym stanem mej duszy i kiedyś, gdy zechcę, wyłatam tymi skrawkami obraz ubiegłej przeszłości. Czy dokładnie? mniejsza o to. Nie zastanawiać się! Przedewszystkiem oddychać i patrzeć!

Trzeba jednak jeszcze dla ścisłości zanotować protokół zeznań gadatliwej gospodyni, beczkowanej pani Kaczmarskiej, właścicielki nieruchomości policyjnej 8, hipoteczny — pal go dyabli! tudzież pralni z magłem — bagatela!

W jej to twarde, jak pracze, dłonie z niezwykłą skwapliwością złożyłem całkowitą należność za komorne. Zaszczyciła mnie za to dłuższą pogadanką, która od kwestyi czyszczenia butów, samowara, niewyprawiania breweryi po nocach, ostrożności z ogniem, wyrzekania na lokatorów, którzy, jej zdaniem, rekrutują się przeważnie z pod ciemnej gwiazdy, przeszła na sąsiedni ogród, przedmiot stałych jej wzdychań. Okazało się bowiem, że dziadkowi jej, mydlarzowi, trafiała się sposobność nabycia go za psie pieniądze, a teraz takie czasy, że trudno wymaglować »fondusz« na postawienie frontu, a o kupnie ogrodu niema co gadać!

Posesya ta przez kilka rąk, rosnąc ciągle w cenie, przeszła w posiadanie państwa Roinich.

Z potoku słów w tej materji o jakimś pięknym ojcu, co umarł młodo, smutnej wdowie, ustrzegło mi najmocniej w uwadze, że jest i córka, ale »pozał się Boże, czyste zmartwienie: ni z pierza, ni z mięsa, ślaniające się stworzenie, wicznie słabe na chorobę nerwową«, o jakiej pani Kaczmarska jak żyje nie słyszała.

Na nieśmiałą uwagę, że jednak takie niesłychane choroby się zdarzają, otrzymałem krótką replikę: »Z próżniactwa! — nie machać po nocach smyczkiem, ale postać z pół dnia przy balii, albo maglu, a w mig byłoby zdrowie, jak nie wiem co!«

Oczywiście ani pisałem o swoich dolegliwościach, bo zamaszysta baba gotowa-by mnie wpakować do pralni, albo co gorsza — wylać z mieszkania.

Zatailem też swój zawód literacki; strzelił mi koncept odpowiedni, że piszę pozwy do sądu, czem zaimponowałem jej wyraźnie.

* * *

Nie zauważyłem, kiedy przyjechali! Właśnie weszła po raz pierwszy pełnia i patrzyłem z zachwytem w rozjaśniony, pachnący ogród, gdzie, jak złom marmuru pod srebrzystą łuską dachu, błyszczał mi w oczach ten pusty dom.

Wtem drgnął żywy jęk w głębi i z czeluści okna trysnęły śpiewne, wibrujące, rozlewne tony, ujmując mnie odrazu za serce.

Lękliwy, rozkoszny dreszcz przecwałował mi po całym cielem.

Moment bezwiednego oporu wciąganego morzem człowieka i natychmiastowe poddanie się tajemniczej władzy.

Straciłem z oczu wszystko i zatonałem w rozkołysanych falach płynącej wprost na mnie melodyi.

Muzyka zawsze odmykała mi tajniki duszy i podszeptowała jakieś półmyśli, półczucia niewysłowionej piękności, w powszednim toku życia zakryte; próbowałem czasem wyrazić je w słowach i choć chwyciłem jedynie widma, rysunek tych cieni posiadał wiele powabu.

Ale jej gra jest czemś nadprzyrodzonym.

Chyba ma struny plecione z cierpiących nerwów, z włókien mrącego w smutku serca, a skrzyпки sklecone z drzewa, które uszło z nostalgii.

Grała z natchnienia, improwizując porywczo.

Chwilami melodia trzepotała się boleśnie, płacząc się w obłędne spazmatyczne akordy, które huczały mi w głowie, jak wichry szaleństwa.

Muzyka trwała niedługo i pękła nagle w pół tonu, jakby raptem opadły zemdlone ręce.

Ogród mi się w oczach odmienił: drzewa przybrały dziwne kształty chwiejnych melancholijnych postaci, kiście okwitających bzów i świeże pęki jaśminów szeptały rytmiczne, odurzające a niepojęte wyrazy.

Biały amorek zdawał się jakimś skulonem,

wystraszonym dzieckiem, porzuconym w nocy samotnie. Wiązka bladych księżycowych promieni sączyła mu się w kołczan, a przygasła iskra, niby kropelka krwi, migotała na ostrzu złotej strzały. W piersiach mi załkał nieutulony żal..

Odrązu miałem mgliste przecucie, że nie jestem tylko przygodnym słuchaczem, lecz, że jakiś węzeł mistyczny dzierga się między nami.

Jakoż fibry mej duszy stały się szybko czułym kamertonem jej skrzypiec, który, współdziałając ze strunami, jednocześnie i tony ich stroił.

Po trzech dniach graliśmy wspólnie, jakby oddając sobie smyczek naprzemian.

Zaczynała ona swe muzyczne zwierzenia tajemnic najskrytszych. Rozedrganiem minorowych tonów wyznawała najgłębsze tęsknoty, w tkliwych pianissimach roztopiała cisze swych smutków. Dźwięczały boleśnie żale wielostrunne, przeciągłe, zawodzące monotonna melancholią. W spazmatycznych, burzliwych akordach wibrowały nuty namiętne, rozdarte dysonanse buntowniczych szalów ducha, porywcze stakata jęków, konające w pauzach gwałtownych upadków, i znów kwilił rzewny leitmotyw szlochających dźwięków, płynących rytmem żalobnym w wieczystą ciemność.

A wszystkiemu temu wiernie i harmonijnie wtórowała rozegrana moja dusza, jak gdyby mi w piersi drgało jej dziewicze, umęczone serce.

Lecz dość było, bym uczynił jeden samo-

dzielny ruch uczuć, a przekształciła się wnet na jego wzór melodya.

I moje własne wzruszenia, jakby w okamgnieniu przemienione w muzykę jej władzą, wracały do mnie, żywe, zharmonizowane, śpiewne.

Niesfalszowane nigdy, czasem tylko jak gdyby nieco spieszczone, otulone delikatną posnową subtelnego czaru, równie szczere, tylko więcej dyskretne.

Tak minął cały czas pełni, siedm złotych, rozmarzonych nocy, które spędziłem w jakimś innym księżycowym świecie.

Zbudzony, zastałem dzień słotny i smutny, a po nim zaszła noc chmurna i wietrzna, w której nie grała, tylko umarłym kwiatem płakały kity bzów.

Nazajutrz deszcz nie padał, ale czas zdawał się jeszcze bardziej posępny. W ciężkiej chwili niezgruntowanego żalu skreśliłem na skrawku papieru, że mi śmiertelnie glucho bez głosu tych strun, żem je ukochał, tęsknię i czekam i machinalnie rzuciłem tę białą wstążkę w prąd wiatru.

Pod wieczór wypogodziło się nieco, z opon zadymionego nieba wysypała się garstka rozproszonych, drobnych gwiazd. Ale na drzewach ogrodu wisiały rozpięte kiry nocy: każde było jakby w krepowym welonie.

O późnej godzinie, kiedy wszystko leżało w martwym uśpieniu i zmęczony późnem czuwa-

niem zaczynałem drzemać, oparty na parapecie okna, nagle ocknąłem się, tknięty przeczuciem, że coś się staje.

W pierwszej chwili zdawało mi się, że Amor powstał ze skały. Nie!

Płynęła ku mnie rytmicznie wiotka, kształtna postać, wyglądająca w ciemności, jak smukła kolumna zwartego mroku.

Serce mi się porwało na jej spotkanie, perliste lzy rozkoszy wypełniły piersi.

— To ty, jedyna! — szepnąłem.

— Ja! — zadrgał cichutki ton.

— Nie mogę rozeznąć twych cudnych rysów, daj pocałunkom twą rękę śpiewną!

Wyciągnęła nad sztachety filigranowe, jakby z błękitu toczone palce. Wychyliłem się, zawisłem prawie, ale nie zdołały się zetknąć nasze ręce. Rozległo się niby chrzęstliwe pęknięcie struny i wymieniliśmy przeciągły, pieśzcotliwy, upajający uścisk przez zroszoną gałązkę jaśminowych kwiatów, które zostawiła w mej dłoni.

Znikła, rozwiała się i po chwili zabrzmiała krótka, serdeczna piosenka, pełna słodkich fletów, radosnych dzwonek i jakichś dalekich sygnałów żaloby.

Wszystko odbyło się tak prędko, niespodzianie, po nocy, że choć stało się wczoraj, mam wrażenie, jakbym wspominał o smutnem widmie szczęścia z przed lat wielu i patrzę, jak na dawną i jedyną pamiątkę, na pęk białych kwiatów,

które zachodzą po brzegach zwiędłą barwą śmierci.

* * *

Dziś z rana rozdarł mi sen raptowny, krótki, przesywający jęk, nie wiem czy z zewnątrz, czy ze mnie idący — i zgasł, jak przeraźliwa błyskawica w stęzałej chmurze uspienia, która zawarła się znów nade mną.

W dzień zauważyłem niezwykle ruch w ich domu.

O zmierzchu zajechał powozem znakomity doktor i bawił długo. Może tylko znajomy?

Noc minęła cicho i spokojnie. Sierp księżycy wyrznął się na niebie.

* * *

Niepodobna łudzić się dłużej. Ona jest ciężko chora. Onegdaj było konsylium.

Przed ich bramą wyłożono ulicę słomą, na której turkot najcięższych nawet wozów zamiera i dudni tak ponuro, ponuro przez dzień cały.

Miewam noce straszne.

Widzę w jej oknie nikle, pełgające światelko, w które wpatruję się, jak w ognisko życia. Cza-szka mi się w szwach rozchodzi, ilekroć płomień ten chwieje się i przygasa, a potem się spaja w jakimś pałającym gorącu, gdy się prostuje i równo żarzy.

W godzinę kilkakroć przekręca się koło tortury.

Krzewy okwitły. W ogrodzie tuła się pełno rozchwianych, zagadkowych cieni, trwoźnych poszeptów, tajemniczych, nękających szmerów, przerażających trzasków, wzniecających paniczny popłoch wokół.

Wszystko zanurzone w szarych, mętnych, posępnych otchłaniach mroku.

Amor wydaje się jakimś zmiażdżonym kształtem białości a nad nim stale unosi się rozprysły, szlochający płacz. Nie widzę tych łez, bijących w ciemność, ale słyszę ich łkania i czuję tak, jakby wszystkie płynęły skroś moje serce zimnym, szalejącym pianą strumieniem.

* * *

— Jezus, Marya! Jeszcze przed świtem wzięła kilka harmonijnych pełnych akordów, które skonały w przeciągłej, długiej jak wieczność, zaciekającej w wolnych interwałach cudownej, kochanej nucie.

W dzień słomę zdjęto; rzucił się na to miejsce rozjuszony turkot i grzmi, grzmi.

Zgiełk walił ulicą, a na tej jednej bramie ktoś raptem przylepił białą kartę: krzyż, pod nim wyolbrzymione tragicznie, szerniałe litery:

Stella Roini umarła...

Zamykam oczy; we śnie kamiennym czekam sto lat! Budzę się, patrzę, patrzę: karta wciąż

wisi. Więc znów zasypiam w bałwanie żelaza na
tysiąc lat... karta wisi!

Ściśnięty w dyszącej siną trucizną ołowianej
bryle czekałem raz jeszcze milion... — napróżno!

Więc teraz pójdę i zedrę gwałtem!

* * *

Nie dali!!

* * *

Wchodzili tu wszyscy. Każdy kto chciał. Ja-
kiem prawem? Nie wiem!

Potworna, zlepiąca z kopyt, sierści i sukna
czwórka koni stała przed bramą.

Obok krzżeli się jacyś dygnitarze, w czar-
nych, stosowanych kapeluszach.

Gdy mnie mijali, powitałem ich dostojnym
ukłonem.

Przeczekałem, aż weszli i, jak ujęty za rękę,
wstąpiłem na schody. Duża sala; pod ścianami
ludzie... a właśnie ci czarni, jak szatani, odsta-
wiali pośpiesznie wazony i gasili płonące, ogro-
mne pochodnie. Pośrodku na wysokościach wi-
dniała ona.

Poznałem ją odrazu. Ujrzałem wyraźnie, że to
unoszą się przede mną nawiedzające mnie dawno
słodkie i piękne widziadło. Z powłóczystego, bia-
łego obłoku wychylała się ta sama tkliwa, dzie-
wicza twarzyczka, za ciemną zasłoną długich rzęs

czubem cudne, utopione we łzach oczy. Bolesne, wycięte usta rozchyłały się w żaloszny pocałunek.

W zwiniętych na piersi bezsilnych dłoniach znać było śmiertelny wysiłek dźwigających się do uścisku omdlałych rąk.

Tylko zakryła się przede mną nie rozplywającym się melodyjnie błękitem, lecz twardem wiekiem ciemnego drzewa.

Wieżli ten mój klejnot, a potem nieśli, prawdziwie jak śliczne skrzypce, nabożnie, ostrożnie.

Myślałem, że na cmentarzu ją wyjmą i zagra, by zbudzić wszystkim umarłym serca. Mnie—moje!

Δ oni co zrobili?

Wrzucili ją w ciemną szczelinę ziemi, zamurowali bezlitośnie spiekłym, szorstkim, krwawym kamieniem i obciążyli jeszcze górą gliny w obawie, żeby nie wstała.

Powiedziałem tym nikczemnym szatanom, że są nietylko źli i podli, ale i bezdennie głupi, bo nie wiedzą, że ja mam władzę jednym drgnieniem uczucia grób ten rozwalić, wskrzesić ją i wyzwolić.

* * *

Sily fizyczne wracają powoli, ale władze ducha zapadają jeszcze często w to apatyczne odrętwienie, w jakie je wtrąciła długotrwała choroba.

Co prawda w znacznym stopniu współdziała temu monotony tryb kuracyi.

Całe dni spędzam pod cieniem magnolii w nisko zasłanym leżaku.

Nieruchome, ciepłe, przepojone zapachem kwitnących róż powietrze, modra, bezobłoczna otchłań nieba, ogromna hipnotyzująca zielonawobłękitna płaszczyna jeziora Garda — wszystko to wprawia duszę w stan z przedmiotowej zadumy, w ostateczną bierność, graniczącą prawie z niebytem.

Oczy moje właściwie nie patrzą, ale, niby zwierciadła, zatrzymują w sobie odbicia obrazów i leniwym ruchem włóczą się machinalnie w półkole widnej przestrzeni.

Z białego lśniącego szczytu Monte-Baldo staczają się zwolna po zielonem zboczach gór na rozpostartą powierzchnię jeziora i nieraz mrużą się do łez, oślepienie skrzącym się migotaniem drobnej fali. I wtenczas jawi się zwykle coś podobnego do myśli i, jako te ciche, majaczące, o splewiałych żaglach łodzie, przesuwa się zwolna i ginie w czemś tak milczącym, jak daleka grupa strzelistych cyprysów, które, niby smutne wieże pogrążonego w toniach gotyckiego tumu, unoszą się tęsknotą w przezroczyście niebo. I czasem istotnie, kiedy w przedwieczornej godzinie poczną bić dzwony wokoło, nadlatujące, melancholijne jęki zdają się dobywać i z pod wody i czynią wrażenie rozegranych Gloryą Boskich organów, zatopionych w głębinie na wieki.

Ze wszystkich stron uderza w piersi jakby jeden żaloszny lament:

— Amen, amen, amen!...

Potem się nagle cały pejzaż ucisza i otula w girlandy liliowych zmierzchów.

I wtenczas zaczynają od brzegu przeszłości przybijać do mnie cicho płynne orszaki słodkich wspomnień o tym śnie cudownym. Zapatrzony w ich uroczy wizerunek, niby w piękną wizję odległej, zasnutej subtelnym smutkiem krainy, zaczynam pojmować, żem się rozkochał w gwieździe urojenia, w uplastycznionem marzeniu, wypiastowanem samotną melodyą duszy podczas kwietnych zamieci, w złotych lunatycznych godzinach nocy.

* * *

Zgon marzeń jest śmiercią rzeczywistą, a bywa tak tragiczną, że można oślepnąć z rozpaczyl

* * *

A jednak słowa, rzucone jękiem nieprzytomnej boleści strasznyin grabarzom, zawierały prawdę.

Człowiek, dopóki nie straci zdolności kochania, władny jest mocą cierpiącego uczucia rozwałać w sobie katakumby najgłębsze i, jak stwozryciel świata, tchnieniem miłości podnosić złożone już w grobie i wskrzeszać wszystkie wła-

snego serca tęsknice, w krwawych skrytkach jego skarbcza zawarte.

* * *

Dziś, nie mogąc zasnąć, otwarłem żaluzje.

W jasnej, prawie bezbarwnej kopule nieba widniał wzbity niezmiernie wysoko, błyszczący otwór księżyca i kilku rozrzuconych migotliwych gwiazd, w dole, jak drugie niebo, płasko w bezkresy rozpostarte, słało się nieruchome jezioro; po bokach góry owiane mgłą wyglądały, jak stężale, opięte zgęstniałym mrokiem cienie. Na jednym leżał biały, podłużny obłok — to śnieg!

Zapatrzyłem się i poczułem, jak zwolna rozdała się widok, mętnieje, roztapia się, wszystko, co realne, gdzieś zapada, ginie i, jak z morza ziemia, wyłaniają się miraże lądów nieznanych.

Rwą mi duszę do lotu; cicho drgająca nad nimi błękitnawa luna skrapla się w senną gwiazdę, która zawraca głowę i ciągnie do siebie, jak żywiol obłądny.

Czyżby czas już w płomień lecieć po nową urnę popiołów?...

BARYKADA

(Z LEONA FRAPIÉ)

Sir Karol Bulton, uczonec angielski, znany powszechnie psycholog, podróżuje po całym świecie i bada »duszę dziecięcą« różnych narodów, by uchwycić zasadnicze cechy ich charakteru.

Metoda, którą się posługuje, jest dość oryginalna: mianowicie w każdym kraju poleca on nauczycielowi lub nauczycielce opowiedzieć dzieciom pewną własnego pomysłu powiastkę tak prostą, iż jest dostępna pojęciu najmniej rozwiniętych dzieci. Sam zaś obserwuje, jakie powiastka wywiera wrażenie i, stosownie do tego, jak została przyjęta, wytwarza sobie pojęcie o właściwościach duszy danego narodu.

Zwiedziwszy rozmaite kolonie, Chicago, Melbourne, Tokio, sir Bulton przybył wreszcie do Paryża. Dotychczas, jak mówiono, doświadczenia Anglika nie dały żadnych pozytywnych, namacalnych rezultatów, powiastka jego, ten próbny kamień, przyjmowana była przez małych słuchaczy dość obojętnie, bez śladu żywszych wzruszeń.

W Paryżu sir Bultonowi polecono dla doświadczenia ochronkę w dzielnicy »kamienia-

rzy«, na przedmieściu, zamieszkanem przez robotników.

Personel szkoły, zawiadomiony zawczasu o wizycie Anglika, przygotowywał się pośpiesznie na przyjęcie czcigodnego gościa. Naszuwaksowane obficie, niż zwykle, obuwie dzieci lśniło się, końce bucików, zazwyczaj podejrzanie matowe, świadczyły blaskiem, że się i po nich przejechała glansująca szczotka.

Ani przełożona, ani nauczycielki nie znały dokładnie celu wizyty, co potęgowało wzruszenie.

Wiedziały jedynie, że mają być dokonane jakieś głębokie studia nad powierzoną ich opiece działalnością przez znakomitego uczonego specjalistę.

Z tego powodu przełożona uważała za stosowne zaapelować do swych pupilów i, zebrawszy wszystkie trzy klasy do jednej sali, wygłosiła następującą, jakkolwiek obracającą się w sferze ogólników, niemniej jednak przekonywającą przemowę:

— Pan, który dziś nas odwiedzi, ogląda, podobnie jak naszą szkołę, wszystkie inne, widział już albo zobaczy małych Niemców, Włochów, małych Murzynków i malutkich Japończyków. A wiecie, dlaczego to robi? Oto pragnie się przekonać, czyje dzieci są najroztropniejsze na świecie. Ażeby jednak być pierwszym na świecie, trzeba być grzecznym, zachowywać się cicho, nie dokazywać, nie wyprawiać krzyków, nie bić

się, prowadzić się skromnie i przyzwoicie. A wówczas sir Karol Bulton powie, że nigdzie nie spotykał tak miłej, posłusznej i przykładnej dziewczyny, jak tutaj, że nie widział tak grzecznej i obyczajnej szkoły, jak nasza. I skoro go kto zapyta: »czyje dzieci są najlepsze na świecie?« — odpowie bez namysłu: »oczywiście, dzieci z ochronki w dzielnicy kamieniarzy«.

Korzystając z pauzy, przeznaczonej na śniadanie, przełożona wyszła, by otrzymać ostateczne instrukcje od inspektora szkół początkowych, który żywo się interesował przedsięwzięciem przez Anglika doświadczeniami. Zanim jednak zdążyła wrócić, zjawił się sir Karol Bulton i poprosił, by go zaprowadzono do klasy starszych, t. j. dzieci od lat 6 do 7.

Pomocnica przełożonej, prowadząca tę klasę, panna Bord, przerwała lekcję, by przyjąć gościa.

Była to osoba subtelna, smukła, ubrana całkowicie na czarno, a matową, bladą twarzą i szlachetnymi rysami przypominała obrazy Madonny.

Patrząc na nią, sir Bulton miał wrażenie, że jej regularna, klasyczna piękność dziwnie harmonizuje z prawidłowością mechanizmu całej

szkoły, którą odczuł całą istotą, za ledwie przestąpił próg gmachu.

Rzeczywiście, dyscyplina była wyjątkowa, wprost idealna.

Dość było ściągnięcia brwi, a już wszyscy uczniowie stali wyprostowani, ułożeni znakomicie, po jednej stronie klasy dziewczynki, z związanymi zręcznie i szykownie kokardkami we włosach, po drugiej chłopcy, których wichrowate czupryny, widocznie pod wpływem uroczystej chwili, uległy posłusznym energicznym pociągnięciom mokrej szczotki.

Ledwie dostrzegalny ruch, i wszystkie bez żadnego hałasu usiadły na ławkach.

Słowem, porządek — bezprzykładny, wzorowy.

Sir Bulton zaczyna cicho rozmawiać z panną Bord, której twarz, jak gdyby dotychczas zamglona niepokojem nieznanego zadania, wyjaśnia się powoli. Potakuje zgodnie ruchem głowy i uśmiecha się. Trudno o rzecz prostszą. Chodzi jedynie o to, by opowiedzieć, ilustrując rysunkami na czarnej tablicy, najzwyczajniejszą pogadankę o baranie, powszechnie znanem zwierzęciu domowem. Tak! tak! Nic więcej, ogólnie znane wiadomości o tem potulnym, łagodnym i tak pożytecznym dla człowieka przez wełnę, mleko i mięso stworzeniu.

Jeden tylko szczegół, z naciskiem podkreślony przez sir Karola, niepokoi cokolwiek pannę Bord. Mimowoli wzrok jej ślizga się po tylnych szeregach dzieci niedbalej uczesanych, lecz szybko uspokaja się, i twarz jej staje się jasna, pełna gotowości, uprzedzająco uprzejma.

Dla sir Karola stawiają krzesło w kącie na równi ze stołem nauczycielki, i lekcya się rozpoczyna.

Obecność czcigodnego gościa nie rozprasza uwagi dzieci, co możnaby poczytywać za nowy dowód dobrego ułożenia i zbawczej dyscypliny.

W danym jednak wypadku idealny sposób bycia dzieci jest w znacznym stopniu, jeśli nie zupełnie, zasługą panny Bord, znakomitej rysowniczkii i utalentowanej mówczyni.

Oto na tle ślicznego pejzażu naszkicowała baranka. Głos jej, sposób mówienia, rzec można, nadaje koloryt, ożywia rysunek, jak gdyby wlewa nowy sens i świeże barwy w najzwyczajniejsze banalne opisy i znane formy.

Wkrótce zainteresowanie się wzmaga, dzięki ukazaniu się na tablicy owcy-matki, przyczem dzieci dowiadują się o tak ciekawych szczegółach, że niektóre gatunki serów, jak naprzykład rokfort, wyrabiają się nie z krowiego, lecz z owczego mleka.

Wreszcie i tu zaciekawienie dosięga zenitu. Przed oczyma dzieci zjawia się jagniątko, zupełnie białe, które zdaje się podskakiwać, bawić

się i tkliwie beczeć, małe jagniątko, takie pocieszne, taka ślicznotka, że twarzyczki dziecięce zdają się rozpywać w rozkoszonym uśmiechu, a wargi mimowoli składają się, by wycalować to cudne maleństwo.

Wśród martwej ciszy główki dziecięce wyciągają się chciwie, napięta uwaga ściąga brewki, drga w skrzydełkach nozdrzy, rozciąga kąty ust.

Słowa chwywane są w locie, ich sens wyczerpywany do dna, z chciwym pośpiechem.

Wtem nagle panna Bord przestaje rysować i zwraca się do klasy.

Twarz jej, przed chwilą tak ruchliwa i wyrazista, zastyga do tego stopnia w surowem, nieruchomem i zimnem pięknie, że staje się jak gdyby zwierciadlanem odbiciem surowej obojętności przyrody, fatalnych, nieuniknionych, żelaznych, nieubłaganych praw świata.

Dzieci zamarły w przeczuciu jakiejś fatalnie nadciągającej grozy.

I w tem grobowem milczeniu dobitne, głuche słowa padały, niby kamienie na dno przepaści:

— Ale wiecie, dzieci, że trzeba jeść, a mięso zwierząt żywi doskonale, daje siły, współdziała wzrastaniu. I wy wszyscy zapewne lubicie kotleciki i pieczeń baranią z kartofelkami. Otóż, jeżeli natura nakazuje, jeśli świat jest tak urządzony, że ludzie karmią się stworzeniami, niema rady, trzeba będzie zarznąć nasze jagniątko.

Zdawało się, że w panującą ciężką ciszę wtargnęła fala ciszy jeszcze większej.

Dzieci wstrzymały oddech.

Nauczycielka tymczasem zwróciła się ku tablicy i zaczęła ponownie rysować.

— Mamy zamiar zarznąć jagniątko, musimy więc zrobić odpowiednie przygotowania: ten budynek — to szlachtuz, oto sznur i hak, na którym powiesimy baranka, ten pień będzie jak gdyby szafotem, na którym poćwiertujemy jego ciało, a oto nóż...

Przerwała, gdyż zjawił się służący z raportem, iż przybyła przełożona z »samym« panem inspektorem, który pragnie zaszczyścić osobistą obecnością wizytację sir Karola Bultona, wobec czego przełożona prosi, by panna Bord zechciała zaprowadzić sir Karola do gabinetu przyjęć dla przedstawienia mu pana inspektora.

Panna Bord szybko położyła kredę i wskazała drogę znakomitemu gościowi, który powstał z krzesła z całą gotowością dobrze wychowanego Anglika.

Klasa na kilka minut pozostała bez dozoru.

Skoro sir Karol Bulton w towarzystwie pana inspektora i przełożonej z całym ceremoniałem oficjalnego przyjęcia zjawił się ponownie na progu klasy, ciężki stół panny Bord, ten cen-

tralny punkt i jakby fort władzy państwowej, leżał, przewrócony na bok, naokoło czarnej tablicy z wyrysowanem jagniątkiem z poprzeszonymi i spiętrzonymi ławek wznosiła się barykada.

Wokoło tej, jakby z ziemi wyrosłej fortecy tłumił się z lewej i z prawej strony, z przodu i z tyłu wszystkich mały lud klasy.

Poprzez szczeliny barykady błyszczały groźnie dziesiątki oczu dziecięcych, niby drobne otwory luź, gotowych do strzału. Sympatyczny Adam, pierwszy urwis klasy, z gęstą, buntowniczo nastroszoną jasno-blond czupryną, z twarzą wołu i herkulesową budową małego niedźwiadka, stał po środku, obok stołu panny Bord, a tyłem do barykady i zdawał się obejmować komendę.

Jakoż, zanim przybyli dorośli zdołali się opamiętać, Adam, zadarłszy w tył głowę z wysuniętym podbródkiem, z podniesionymi ramionami, z napiętymi mięśniami rąk, instynktownie zaciskając pięście, rzucił im na spotkanie ze swym akcentem z przedmieścia rewolucyjny okrzyk:

— My nie damy zarznąć jagniątka!

Sir Karol szybkim, porywczym gestem powstrzymał przełożoną i inspektora, którzy byli gotowi, jak wypadło, wmieszać się do sprawy, i poprosił o chwilę swobody, by rozejrzeć się i zrozumieć, o co chodzi.

I sir Karol pociągnął po klasie swem poważnym spojrzeniem, majestatycznym i przenikliwym, nabytem wskutek głębokich rozmyślań i do-

ciekań nad życiem wielu narodów na rozmaitych szczeblach cywilizacji.

Zgiełk głosów, długa, nie rozczłonkowywana wibracja dźwięków zadrgała w ciszy klasy po okrzyku Adama. Wszystkie oczy, wszystkie usta, wszystkie krtanie, policzki napięte i drżące powtarzały z zuchwalstwem rozpaczy jedno zdanie:

— My nie damy zabić jagniątka!

— Oho! — pomyślał sir Karol — więc to znaczy, że cały ten mały narodek powstał, jak jeden mąż, by bronić niewinnej ofiary.

I nagle szlachetny Anglik doznał wrażenia, że w tych dziecięcych okrzykach dzwoni mu głos całej rasy.

Każda dziecinna twarzyczka krzyczała po swojemu: jedne z siłą, inne błagalnie, przerażone lub uciśnione, ale wszystko zlewało się w jeden potężny, porywający protest przeciw wszelkiemu zamachowi na niewinną ofiarę.

Wzrok sir Karola jął badać poszczególne grupy. Z różnolitej mieszaniny chłopców i dziewcząt wylawiał najbardziej jaskrawe typy.

Oto silne, otwarcie zdecydowane, jak Adam, oto dzikie, pozornie lękliwe, ale do okrucieństwa śmiałe, jak Leon Gros.

Ci przedewszystkiem przykuwali uwagę.

Za nimi następował długi szereg wielkich w swej prostocie przedstawiolek macierzyńskiego heroizmu: Helenka Leblanc, Luiza Clouet i inne. Czułe ich, drżące, filigranowe postacie

wzdrygały się od każdego uderzania wzruszonych serduszek, pozostawały jednak na swych stanowiskach, gotowe paść trupem, jeśli będzie potrzeba.

Ulubienice klasy: ładniutka, zalotna Irma Guepin, Julia Casin, protestowały błagalnie, z nabożnym oddaniem się, jakby w imię pokrzywdzonego piękna świata, którego były uosobieniem.

Ale, być może, najwyższy stopień piękna patrzył na sir Karola z głęboko zapadniętych oczu, z pod okrytego strupami czoła odepchniętych: Ryszarda z głową schorzałej małpy, garbusa Vidala, Ronvalota, chodzącego szkieletu. Z jakimś zaciekleńcem poświęceniem, z dochodzącą do zapamiętania się zawziętością byli gotowi do upadłego bronić jagniątko, nie dopuścić za nic, by je zabito, jakby ich własne kalectwo było już ostatecznym kresem dostępnej dla człowieka krzywdy.

Również katagoryczne *veto* malowało się na obliczach nierozwiniętych i zwyrodniałych.

Głęboki, tępy ból tkwił w ich wyrazie, nie-dołężne, zgnębione fałszem i złośliwością losu, zdawały się mówić swem posepnem wejrzeniem:

— Jeśli zamordujecie jagniątko, wieczyste przekleństwo zacięży nad wami!

Pałające, czerwone słońce padało przez otwarte okna i zalewało dziatwę, tak że żaden cień nie zatuszowywał i nie łagodził konturów jaskrawego obrazu.

Widać było, że i najposłuszniejsze »benja-

minki« klasy, prymusy, dzieci zamożnych, »przyzwoitych« rodzin, którym władze nie szczędziły pochwał, stawały za wzór, jak np. Berta Cadeau, Leon Chereau, obydwójce z piersiami, obwieszonymi orderami szkolnymi, ci również uczciwie i otwarcie stali na barykadzie, żalując może, iż są zmuszone brać udział w buncie, ale rozumiejąc, że inaczej postąpić niepodobna.

I dzieci, wiecznie głodne, morzone od urodzenia, których anemiczne policzki domagały się na gwałt mięsa, te wynędzniałe, zapadłe twarzyczki, dzięki którym zyskały przezwiska Luizy Nienasytki i Karola Głodomora, nawet one, z oczyma i rękami zdychającego z głodu wilka, wołały również, iż one nie chcą, nie chciały! Nieprawda, jakoby były kiedykolwiek głodne. Łaski! Łaski! Nigdy już nie będą... nie będą więcej głodne! Nigdy nie będą się napierały — jeść!...

Wreszcie sir Karol na froncie barykady spotkał się ze spojrzeniem równie rozumne, nie! nieskończenie mędrszym, niż wzrok jego własny.

Tricot ze starczą twarzą, która już poznała wszystko w życiu, Tricot, który z nie dającym się opisać uśmiechem ironii mawiał o swojej matce: »mam z nią święty spokój tylko wówczas, gdy mnie bije«, Tricot bez kołnierzyka, w rozłożącym się, powiązanym tasiemkami obuwiu, przedstawiał obraz istoty, stokroć zabijanej i niezmiennie ku zdumieniu otoczenia po-

zostającej wiecznie na właściwym, przynależnem jej miejscu, które jest otchłanią łez i niedoli.

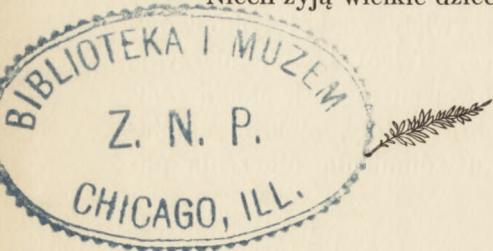
Znać było, że, gdyby wszyscy jego koledzy rzucili się do ucieczki, onby pozostał na stanowisku sam jeden, jak stoi: z ręką w kieszeni, w odrzuconym na bok fartuchu, z łachmanem, niby symbol bohaterskiego sztandaru, wylażącej ze spodni koszuli, zostałby, przeciwstawiając atakowi wroga całkowitą odwagę swego zuchwale zadartego nosa i dobrodusznie gorzkiego uśmiechu kpiących warg:

— Nie damy mordować jagniątka!

I szczerze wzruszony sir Karol Bulton pochylił przed barykadą dumną swą siwą głowę na znak czci, jaką zwykł darzyć w Ameryce, w Japonii, na całym obszarze świata wszelkie mężne przejawy woli narodu.

Następnie majestatycznym ruchem wznosił w górę kapelusz. I tonem bardziej uroczystym, niż ten, którym miał zwyczaj wznosić na dyplomatycznych bankietach zdrowia dygnitarzy, wykrzyknął na cześć dziatwy dzielnych »kameniarzy«:

— Niech żyją wielkie dzieci wielkiego narodu!



SPIS RZECZY.

	Str.
Epilog	1
Zelma	51
Rien ne va plus	81
Policzek	99
Luźne kartki	119
Barykada	173







